POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień | *Dnia 21-go kwietna 1945r.* | Rok VII. Nr. 16

RYTM WOJNY

Przed kilku tygodniami J. A. Teslar, pisząc w "Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza" o zbiorze poezyj jednego z młodych żołnierzy polskich, podkreślił ich życiową i literacką autentyczność, życiową i literackę prawdę. Uwaga zupełnie słuszna, tak słuszna, iż domaga się podbudowy, na jaką rozmiar krótkiego artykułu J. A. Teslarowi nie pozwolił. Oczywiście, od pisarzy z szeregów wojskowych oczekujemy literackiego płodu ich przeżyć, z góry im wierzymy i gotowi jesteśmy przyznać im najlepsze miejsce we współczesnym nam panteonie poetyckim.

Nie wszystko, niestety, co piszą koledzy z szeregów dochodzi do nas, nie wszystko też na miejscu uwieczniane jest drukiem. To zwykły los twórczości wojennej, gdy notatnik pisarski żołnierza tak często ginie z nim razem lub przepadą w okolicznościach marszu czy boju. Może kiedyś część tych utworów odnajdzie się i będzie mogła być zabezpieczona, ale — rzecz prosta — nie wszystko. Czyn, opiewany słowem, przejdzie do porządku dziennego nad samym słowem, nie da się utrwalić na gorąco, a potem dozna, być może, zniekształceń i przyozdobień, które narzuci zawodność pamięci i nieprzerwany tok wydarzeń.

Poezja w tym względzie szczęśliwsza jest zawsze od prozy. Z natury swojej treściwsza, pozwala na prędsze wykończenie i nadanie ostatecznej formy. Dlatego możemy cieszyć się nie tylko poszczególnymi wierszami, ale i zbiorami wierszy, podczas kiedy w prozie rzadko widujemy coś więcej, jak fragmenty. Na prozę, literacko scaloną, poczekamy prawdopodobnie długo.

Autentyczność utworom, przybywającym z pola walki, nadaje odczuwany bezpośrednio przez ich autorów rytm wojny. Rytm ten jest odmienny od rytmu wojen poprzednich, tak w materialnej swojej, jak i moralnej istocie. Trzeba nim żyć, żeby wibrować z nim w tych samych drgnieniach; trzeba — a to jest możliwe tylko przez własne odczucie — włączyć się w jego potężny puls, by o nim autentycznie, prawdziwie mówić. W oparciu o te autentyki jakiś przyszły wielki twórca stworzy może pomnikowe dzieło; nie zdoła tego nigdy uczynić, jeżeli znajdzie, jako materiał, tylko zdawkowe i z drugiej ręki utwory.

ŁOSKOT SILNIKÓW I GĄSIENIC

Napoleon nogami swych żołnierzy wygrywał batalie; żołnierz, nie tylko napoleoński, ale jeszcze żołnierz poprzedniej wojny, miał przed sobą marsz, wypoczynek, bój. W marszu i na wypoczynku mógł śpiewać; tak powstawały pieśni marszowe i biwakowe. W okopie mógł go prać ogień artyleryjski, ale wtedy to był właściwie już bój w swoim najbardziej niszczącym wyrazie. Jeżeli nie szedł pieszo, to jechał konno, był podwożony końmi lub koleją. Żołnierskie transporty kolejowe trzęsły się zawsze od pieśni. Dziś wygląda to zupełnie inaczej.

Nie śpiewa lotnik, nie śpiewa żołnierz w czołgu, nie śpiewa i podwożony szybko samochodem żołnierz zmotoryzowany. Szybkość ruchu, łoskot silnika, zgrzyt gąsienic tłumi wszelką pieśń, gdyby się nawet z piersi wyrwać chciała. Huk bomb lotniczych nie idzie falami, jak ogień artyleryjski, ale spada co minuta, prawie nieoczekiwanie, nęka stale. Cóż zostaje na śpiew? Chyba chwile oczekiwania, gdy są jednocześnie wypoczynkiem. Wojna jest wyraźnie ruchowa, ale w swoim ruchu znacznie gwałtowniejsza od wszelkich poprzednich kampanii ruchowych.

To też mało się słyszy tych pieśni, które dawniej samorzutnie i niemal co dzień powstawały w szeregach. A przecież w tych szeregach jest więcej może ludzi, zdolnych do twórczości, z większą kulturą literacką, niż kiedykolwiek. Więc może są jeszcze inne przyczyny zmilknięcia pieśni żołnierskiej?

WOJNA UDERZA WSZĘDZIE

Zmieniła się także wyłączność wojenna żołnierza. Pociski padają wszędzie: na front i na tyły, na czoło kolumn, wzdłuż nich i na sztaby, godzą w pozycje i w budynki, w umundurowanych i w cywilnych, burzą miasta i wsie daleko za linią bojową. Żołnierz nigdzie nie ma poczucia bezpieczeństwa, nawet gdy leży już w szpitalu. Co więcej: żołnierz nie ma chwili spokoju o los swoich najbliższych. Któż to mocniej odczuwa, niż my, Polacy?

Wojna totalna, wymysł prawdziwie szatański z podstępnym tłumaczeniem, iż to jest wojna szybka, a więc "bardziej ludzka", przygnębia żołnierza, nęka go moralnie, usiłuje zniweczyć w nim wszelki hart i odporność. Jakże trudno żołnierzowi zdobyć się na pogodę ducha, na odprężenie i młodą pustotę. Walczą całe narody i rany biorą całe narody. Któż odmówi miana ofiar wojny mieszkańcom Londynu i innych bombardowanych miast angielskich, kto zwłaszcza ośmieli się nie uznać za walczących żołnierzy wszystkich niemal mieszkańców Warszawy?

Ale ten stan rzeczy oducza od śpiewu. Co najwyżej mógłby rodzić posępne chorały lub psalmy. Widzimy, że w porównaniu z poprzednią wojną ta może być nazwana milczącą. Może dopiero chwila zwycięstwa dobędzie jakiś pogodny u zwycięzców śpiew.

DROGI WOJNY SĄ DALEKIE

To, co powiedzieliśmy wyżej, dotyczy wszystkich walczących, wszystkich żołnierzy ciężkiego okresu wojennego 1939 — 1945. A teraz to, co dotyczy nas szczególnie.

Potężny podmuch wojny rozrzucił nas daleko po świecie. Nie walczymy dotąd na swojej ziemi, na swoich wodach, w swoim przestworzu. Nie śpiewał żołnierz, idący "borem — lasem", bo musiał kryć się ze swoją przynależnością narodową. Jeżeli trysnął potem zbiorową pieśnią na obcej ziemi, to chyba w krótkich chwilach między ćwiczeniami, dla animuszu raczej, niż z potrzeby. Albo słuchał specjalnych chórów, jakie dlań i dla chwały polskiej tworzono, najbardziej zresztą celowo i umiejętnie. Ale rytm tej wojny, póki z bronią w ręku nie wkroczymy kiedyś na od wszelkiego wroga uwolnioną ziemię własną, jest dla nas ciągle jeszcze rytmem obcym.

Nie znaczy to, że wojna ta jest nam obojętna. Od pierwszego jej dnia dajemy dowody, co do niej wnosimy; wiemy też, czego wzamian zato od sojuszników spodziewać się mamy prawo. Nie jesteśmy przecież legionami w służbie obcej, ale podległymi swojemu najprawowitszemu Rządowi siłami zbrojnymi.

Wiemy też, iż sprawą życia i śmierci dla narodu polskiego jest ostateczne zgniecenie nieprzejednanego wroga. Zanim jednak nie zapachnie nam własne pole, nie otoczy nas swoja mowa, nie zazgrzytają nam pod stopą kamienie naszych dróg, póty czuć się będziemy tułaczami. Jedyne, co w tym względzie ratować może, to poczucie, że prosta droga wiedzie nas do celu. Cel ten — to powrót do kraju w zwartym żołnierskim szeregu, z rozwiniętymi sztandarami, powrót poto, by ojczyznę wyzwolić, umocnić ją w sile i nadal przed wszelkim złem bronić.

Ten jest sens słów Wodza Naczelnego, ta jest treść naszej przysięgi i istota naszego obowiązku.

PIEŚŃ W PODZIEMIACH

Kraj śpiewał mało, śpiewał w ukryciu i śpiewał ponuro. Biła moc i potęga z tych pieśni, jakie przywożono nam tutaj, lecz nie mogły być one i nie były pogodne. Polskę wrogowie uczyli zawsze nienawiści, choć nie ma dalszego od usposobienia naszego uczucia. Pieśni kraju wzorowały się na podmuchach wichru i na poszumie drżew. Czyż nie wejdą też do przyszłych zbiorów wojennych pieśni wygnańcze? Najmniej pewno będzie pieśni więziennych, bo w katowniach zmilka wszelki śpiew.

Pieśni Polski Podziemnej drgają rytmem walki, innej, cięższej, niż zwykła żołnierska walka — rytmem takiego bólu i męczeństwa, że będzie im się należało pierwsze miejsce wśród wszystkich naszych pieśni tej wojny. Za majestat bólu, za moc, za przetrwanie, które było i będzie. Za to, że pieśni dobywają się z gruzów nawet i dobywać się nie przestaną.

PIEŚŃ I JEJ ODBICIE

Zaczęliśmy od literatury, a kończymy na zwykłej pieśni, tak daleko odbiegającej od wszystkiego, co jest sztuką. Robimy to celowo. Piszarze nasi, poeci wojenni, są współtwórcami wszelkiej pieśni, a często z pieśni bezimiennej biorą natchnienie. Z pewnością zaś są najczulszym wskaźnikiem tego, co nurtuje w duszy zbiorowej.

Otóż najsilniejszym drgnieniem w polskiej poezji wojennej naszej doby wydaje nam się tęsknota. Jest ona nie czynnikiem rozkładu, ale zwarcia, nie słabości, ale walki. Jest czułą płytą, na której maluje się co dzień kraj, jest drogowskazem, który do kraju zwycięsko dowiedzie.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

STANISŁAW GLIWA: Z walk Drugiego Korpusu we Włoszech



"Pazur" i "Pirat" z Czwartaków w Gardzieli pod Mass Albanetta



Pancerni Krechowiacy forsują rzekę Chienti

Przegląd tygodniowy

KATASTROFA

Kampania w Niemczech niewiele już ma wspólnego z tym, co zwykle rozumiemy pod pojęciem w o j n a. Od czasu sforsowania Renu Niemcy nie byli już w stanie ustalić jakiejś linii obrony, czy zdobyć się na zorganizowany opór. Bitwa rozegrana nad Renem, zmieniła się w katastrofę armii niemieckich — katastrofę nie posiadającą żadnych odpowiedników w historii Rzeszy.

Katastrofa ta następuje w straszliwym tempie. Wydarzenia na frontach przytłaczają swymi rozmiarami, a postępy wojsk — swą szybkością. Poczynając od północy, gdzie nastąpiło odcięcie Holandii i rozpoczęło się uderzenie na porty Emden i Bremen, poprzez likwidację Zagłębia Ruhry, sforsowanie Łaby najpierw na odcinku 9 armii, aż do operacji na Bawarię i Drezno 7 i 3 armii — wszędzie mamy ten sam obraz nigdzie silniej niehamowanych, błyskawicznych postępów, miażdżących niemiecką machinę wojenną.

JAK KURCZAK BEZ GŁOWY

Niemieckie siły zbrojne jako jedność organizacyjna — właściwie już nie istnieją. Walka trwa, żołnierz niemiecki bije się, ale już z przyzwyczajenia, jakby w jakimś transie. Ktoś słusznie porównał działanie *Reichswehry* do konwulsyjnych podrygów kurczaka, który po ścięciu głowy zrywa się jeszcze i biegnie w drgawkach parę kroków. Porównanie to wydaje się dość przekonywające. Ale walka trwa i trwać będzie do końca, do ostatniego żołnierza. Plan przedłużania kampanii kosztem największych nawet ofiar — w oczekiwaniu na jakiś niespodziewany zwrot w sytuacji, na jakiś cud, który mógłby zmienić bieg wydarzeń — przeprowadzany jest jak najdokładniej.

Radio niemieckie pełne jest nadal wezwań do obrony. Agencja *"Front und Heimat"*, rozsyłająca materiały do pism żołnierskich tłumaczy żołnierzom niemieckim straszliwy los, jaki czeka ich pod okupacją aliancką. Koła polityczne Waszyngtonu — twierdzi dobrze poinformowana *"Front und Heimat"* — ustaliły, że po wojnie 5.000.000 Niemców ma zginąć z głodu. Wojnę należy przedłużać, ponieważ zwycięstwo Niemiec nie jest już tak dalekie. Po zeszłej wojnie Lloyd George przyznał się, że W. Brytania wygrała wojnę na pięć minut przed północą. Dziś jest to samo. Alianci prawie wyczerpali już zapasy. Brak środków transportu morskiego jest tak wielki, że W. Brytanii grozi straszliwy kryzys głodowy.

Tak właśnie wygląda propaganda, którą próbuje się jeszcze podtrzymać na nogach armię niemiecką — tego bezgłowego już teraz kurczaka.

PO CO TO WSZYSTKO?

Po co to wszystko? — Oto pytanie, nad którym wielu suszy sobie dziś głowę. Z chwilą nieuniknionego połączenia się sił posuwających się z zachodu z wojskami rosyjskimi — przestanie istnieć jakakolwiek obrona Rzeszy. Hitler wraz z otoczeniem oraz doborowymi jednostkami S.S. bronić się ma w południowej Bawarii. Podobno — tak przynajmniej twierdzą źródła szwajcarskie — nagromadzono tam olbrzymie zapasy. Pobudowano podziemne lotniska i fabryki. W grobach ukryto składy żywności, amunicji i sprzętu.

W ukryciu tym Hitler, Himmler, Goebbels, czy ktokolwiek inny kto rządzi dziś Rzeszą, czekać ma na owo wydarzenie, które zmieni bieg wypadków. Dostarczyć tego wydarzenia ma skłócona politycznie, zmorzona głodem, epidemiami i rewolucjami — Europa. Hitler jest uczniem i wielbicielem Fryderyka Wielkiego. Pamięta jak śmierć carycy Elżbiety uratowała jego mistrza od niechybnej zagłady. Być więc może, że i Hitler liczy na taką niezwykłą zmianę układu przymierzy.

Wydaje się dość prawdopodobne, że Niemcy, korzystając z warunków naturalnych, spróbują podtrzymać opór na pograniczu bawarsko-austriackim — jak długo jednak? Marszałek Montgomery wyraził się ostatnio z powątpiewaniem o wojskowych możliwościach przedłużania obrony w Bawarii. Zresztą ta ich forteca jest już wyraźnie zagrożona przez postępy Pattona i Tołbuchina.

Przyjmując nawet jednak ten pogląd, trudno się dopatrzeć jakiegoś wyraźniejszego związku logicznego między tym głównym bastionem a istniejącymi wciąż jeszcze ośrodkami oporu — pomijając "worki" w samej Rzeszy — jak n.p. porty francuskie, Holandia /około 5 dywizji/, Bałkany /resztki 10-u dywizji/, czy Norwegia /10 dywizji/. Obrona na północy, gdzie zresztą Niemcy wciąż próbują stawiać silniejszy opór, może mieć jeszcze jakieś znaczenie. Porty holenderskie oraz niemieckie, jak Emden, Brema, Hamburg czy Lubeka — jeśli będą się jeszcze bronić przez czas jakiś — przedłużą niewątpliwie na pewien okres istniejący stan, w którym armie alianckie w głębi Rzeszy wciąż jeszcze opierają swe zaopatrzenie na Antwerpii. Być może ułatwi to nieco życie południowej *"Festung Berchtesgaden"*.

Czy jednak wszystko to może się naprawdę jeszcze na coś Niemcom przydać?

BEZ DROGI ODWROTU

Pozostają jeszcze Włochy z zamkniętymi tam ponad dwudziestoma dywizjami niemieckimi. Okrężną drogą w kierunku wschodnim łatwo by się przedostać stamtąd poprzez Karyntię do rejonu Salzburg — Berchtesgaden. Łatwo jednak — ale na mapie. Praktycznie opór stawiany przez siły niemieckie we Włoszech jest przykładem beznadziejnej obrony, skazanej na nieuniknioną zagładę. Niemcy nie posiadają zupełnie odwrotu z frontu włoskiego. Biegną stamtąd na północ zaledwie dwie linie kolejowe i praktycznie cztery szlaki drogowe. Te połączenia komunikacyjne są już zniszczone przez lotnictwo Sprzymierzonych i pozostają pod jego całkowitą kontrolą. Ewakuacja wojsk niemieckich zablokowanych we Włoszech trwałaby szereg miesięcy.

Tymczasem na spokojnym ostatnio froncie włoskim rozgorzały walki na dobre. Ofensywa podjęta przez 8 armię przypieczętuje los dywizji niemieckich we Włoszech. Rozpoczęła się ona pomyślnie. Rzeka Senio, która tak długo hamowała postępy Sprzymierzonych we Włoszech, została sforsowana. Ten sam los dzieli następna bariera wodna — Santerno. Nic więc dziwnego, że w tej sytuacji nie należy lekceważyć pojawiających się ostatnio pogłosek, że nowy dowódca niemiecki frontu włoskiego — jest nim gen. Heinrich von Wiettinghoff-Scheel, były dowódca 10 armii — gotów jest wykazać dość zdrowego rozsądku, by skapitulować, jeszcze przed całkowitym ustaniem oporu w samej Rzeszy.

NA ZIEMI NIEMIECKIEJ

Jak było do przewidzenia, Polacy, którzy pierwsi podjęli wojnę z Niemcami, prowadząc ją nieustannie od 1 września 1939 r., będą również obecni przy jej zakończeniu. Jednostki nasze biorą udział w ostatecznej kampanii, która kończy tę niemal sześcioletnią, przewlekłą, krwawą wojnę z Niemcami. II Korpus we Włoszech oraz 1 Dywizja Pancerna na pograniczu holendersko-niemieckim weszły prawie jednocześnie do akcji. Operacje poprzedzone zostały wizytą p.o. Naczelnego Wodza, który z Holandii udał się na front włoski.

II Korpus z miejsca miał znaczne sukcesy, o których wiadomości zamieszcza codziennie prasa brytyjska. Dywizja Pancerna ma trudne zadanie; działa na odcinku, gdzie Niemcy, osłaniając porty północne — wciąż jeszcze stawiają zacięty opór. Operuje ona na Emden.

Ale na odcinku Dywizji zdarzył się fakt, który w historii wojska polskiego ma wielkie i niezwykle znamienne znaczenie. Po raz pierwszy w tej wojnie /po za wypadem kawaleryjskim do Prus Wsch. w 1939/. zbrojne oddziały polskie wkroczyły na terytorium Rzeszy. Stanęły one na ziemi niemieckiej jako wojsko zwycięskie — część zwycięskich armii sojuszniczych. W ten spopsób po sześciu niemal latach wymierza się dziejowa sprawiedliwość.

PODOBIEŃSTWA . . .

Żołnierze Dywizji będą świadkami ostatecznej klęski Rzeszy. Potęga, zbudowana na krzywdzie i bezprawiu, wali się w gruzy. Ci sami Niemcy, którzy tak butnie panoszyli się na ulicach Warszawy, Krakowa, czy Poznania, teraz będą się korzyć przez polskimi żołnierzami, płaszczyć się — jak to powszechnie czynią na terenach okupowanych — i odżegnywać się od winy.

Chociaż sytuacja Niemców nie ma nic wspólnego z losem, jaki zgotowali Polakom po Wrześniu — to jednak odczuwają oni po raz pierwszy w pełni straszliwą grozę nowoczesnej wojny. Walki toczące się obecnie w Rzeszy mają wiele podobieństw z kampanią niemiecką w Polsce. Tylko że rola zwycięscy przypada obecnie Sprzymierzonym.

Pomijając już pewne podobieństwa pomiędzy walkami nad Bzurą, a bitwą o Ruhrę, gdzie na środkowym odcinku osączone zostały znaczne siły — należy podkreślić takie n.p. czynniki, jak nierówność sił powietrznych. Sprzymierzeni — podobnie jak Niemcy w Kampanii Wrześniowej — posiadają olbrzymią przewagę powietrzną, która właściwie zdusiła i zupełnie unicestwiła lotnictwo przeciwnika. Istnieje również silne podobieństwo w nieskrępowanych ruchach jednostek pancernych, które głębokimi zagonami buszują swobodnie na tyłach przeciwnika. Jedyną zaporę stanowią miasta, bronione kosztem ich istnienia. Takich podobieństw można by się doszukać oczywiście więcej.

Na froncie wschodnim ostatni tydzień przyniósł upadek Królewca i Wiednia. Mimo szumnych zapowiedzi propagandy niemieckiej, Wiedeń właściwie się nie bronił. Mieszkańcy stolicy Austrii zdołali uniknąć losu Budapesztu. Według prasy wojskowej w bitwie w Wiedeń znaczną rolę odegrał austriacki ruch podziemny, noszący tajemniczą nazwę "05". Chocaż prasa rosyjska poświęca temu ruchowi więcej uwagi, niż polskiej Armii Krajowej w ciągu pięciu i pół lat jej działalności — należy stwierdzić, że o jego dokonaniach słyszano dotychczas niewiele. Ujawniona przed kilku miesiącami wiadomość o istnieniu austriackiego batalionu czy też batalionów w armii marsz. Tito — była zdaje się jedyną informacją o akcji niepodległościowej Austriaków.

Na froncie środkowej Odry oraz nad Nisą Rosjanie wznowili zwycięską ofensywę na Berlin. Główne uderzenie wyszło na czterdziestwo milowym odcinku między Kościerzynem, a Fuerstenberg. Hitler odpowiedział na ten ostateczny już cios, histerycznym przemówieniem, malując Niemcom w niezbyt zachęcających barwach los, jaki oczekuje ich od Wschodu. Nowa ofensywa rosyjska zadecyduje nie tyle o przyszłości Berlina — bo jest ona już rozstrzygnięta — ile o tym kto pierwszy, Amerykanie, czy Rosjanie, wkroczy do stolicy Rzeszy.

Londyn dn. 16 kwietnia 1945

ZASTĘPCA

Z tygodnia na tydzień

9 kwietnia: *II-gi Korpus bierze udział w ofensywie Sprzymierzonych na froncie włoskim. Oddziały II-go Korpusu przekroczyły rzekę Senio i nacierają w kierunku na rzekę Santerno.*

—Polska Dywizja Pancerna jest w akcji na froncie w Holandii. Oddziały polskie posuwają się w kierunku na Emden.

—Wojska sowieckie zajęły Królewiec oraz centrum Wiednia.

—Lotnictwo sprzymierzone zatopiło krążownik niemiecki "Admirał Scheer" w Kanale Kilońskim.

10 kwietnia: *Oddziały kanadyjskie wkroczyły do Deventer. Oddziały 1 Dywizji Pancernej, które wyruszyły z Helmsloo, zdobyły Emmen i osiągnęły miejscowość Weerdingemond w Holandii.*

—Ogłoszono, że gen. Wł. Anders odwiedził gen. Crerara, dowódcę Armii Kanadyjskiej.

—Wojska sprzymierzone zajęły Hanower i Nordhausen.

—Lotnictwo sprzymierzone po raz pierwszy atakowało obiekty wojskowe w Czechosłowacji.

1 kwietnia: *Wojska sprzymierzone zajęły Essen w zagłębiu Ruhry.*

—Na zachodnim odcinku frontu wojska sprzymierzone wkroczyły do Brunswicku, osiągnęły rzekę Łabę w pobliżu Magdeburga i dotarły do Erfurtu.

—Na froncie włoskim wojska sprzymierzone zajęły Massę na płd. od Spezii i dotarły do rzeki Santerno. Oddziały II-go Korpusu wkroczyły do Castel Bolognese na drodze Rimini-Bolonia w nocy z 11/12 kwietnia.

12 kwietnia: *W Ameryce zmarł Prezydent Stanów Zjednoczonych Franklin Delano Roosevelt. Następcą jego został dotychczasowy wice-prezydent Harry S. Truman.*

—Oddziały 1 Dywizji Pancernej zbliżają się do Winschoten. Inne oddziały przekroczyły granicę niemiecką i zdobyły Rhede. Jeden z oddziałów polskich oswobodził 1700 kobiet polskich z obozu koncentracyjnego w pobliżu Hintermbush.

—Wojska sprzymierzone przekroczyły Łabę. Walki toczą się w Magdeburgu. Weimar poddał się bez walki.

—Na froncie włoskim wojska sprzymierzone wkroczyły do Carrary.

—Min. Spr. Zagr. W. Brytanii oznajmił w parlamencie, że Ambasador brytyjski otrzymał zapewnienie od rządu sowieckiego uwolnienia żony Premiera Arciszewskiego zaaresztowanej przez władze sowieckie.

—Ogłoszono, że gen. Wł. Anders przebywa w II-gim Korpusie.

13 kwietnia: *Oddziały II-go Korpusu zdobyły Castel Bolognese. Oddziały sprzymierzone zajęły Massa Lombarda na drodze do Bolonii.*

—Wojska sowieckie zajęły Wiedeń.

—Wojska brytyjskie wkroczyły do Arnhem.

—Wojska amerykańskie zajęły Duisburg w zagłębiu Ruhry oraz Jenę.

14 kwietnia: *Oddziały II-go Korpusu po przekroczeniu rzeki Santerno wtargnęły na przedmieścia Imola, gdzie toczą się zacięte walki.*

—Wojska amerykańskie wkroczyły do Bayreuth.

—Von Papen, b. ambasador niemiecki w Ankarze, został wzięty do niewoli przez wojska amerykańskie.

15 kwietnia: *Oddziały II-go Korp.. zdobyły Imolę o 19 mil od Bolonii i zbliżają się do rzeki Sillaro.*

—Oddziały 1 Dywizji Pancernej zajęły Winschoten.

—W Holandii wojska sprzymierzone dotarły do Morza Północnego w miejscowości Ternaard i odcięły wojska niemieckie w zachodniej Holandii. Zajęto Arnhem.

—Wojska sprzymierzone nacierają na Bremź. Zajęto Stendal. Walki toczą się w Halle, o 20 mil na poł. zachód od Lipska.

—Wojska sowieckie zajęły St. Poelten, o 28 mil na zachód od Wiednia.

Wojna na morzu

NA BAŁTYKU . .

Trudno jest w ramach kroniki ukazującej się raz na dwa tygodnie omówić następujące szybko wydarzenia, a tymbardziej pisać o przyszłości, skoro teraźniejszość zmienia się z godziny na godzinę. W chwili gdy piszemy te słowa — padł Królewiec. Kilonia i Brema płoną. Wojska polskie zdobywają Emden. Nad Bałtykiem Niemcy są jeszcze w okolicach Libawy, w Piławie i na Mierzei Świeżej, oraz na naszym Helu, ale opór ich nie może trwać długo. Natomiast nie jest wykluczone, że z wysp duńskich i z fiordów norweskich uczynią sobie twierdze, które może będą się bronić jeszcze po kapitulacji Niemiec.

Położone na Bałtyku Bornholm, Fehmarn i niektóre wyspy w Bełtach i w Sundzie przedstawiają dobrze zorganizowane, umocnione rejony. Marynarka niemiecka /szczególnie duże i małe okręty podwodne/ wciąż działają i posiadają w Norwegii liczne kryjówki, zaopatrzone w zasoby na kilka miesięcy. Tak długo, jak Niemcy tkwią w Danii, wejście na Bałtyk jest zamknięte.

Wojna zaczęła się od Bałtyku, od Gdańska, Gdyni i Helu i na Bałtyku zapewne się skończy, bo konieczne będzie odcięcie baz niemieckich w Norwegii i opanowanie cieśnin duńskich. Operacja taka nie będzie dziś trudna dla zachodnich Sojuszników, ale — o ile Niemcy zechcą się bronić — trwać może jeszcze pewien czas.

Są dane, że rozpaczliwa obrona Bremy miała na celu ewakuację tego co się da do Danii i Norwegii. Kanał Kiloński został już przedtem ufortyfikowany i ma stanowić zaporę, odgradzającą półwysep Jutlandzki od kontynentu. Czy uda się jednak Niemcom utrzynać w Szlezwigu — to jest pytanie.

W roku 1939 Hitler dumnie oświadczył, że nie powtórzy nigdy błędów Wilhelma II. Ba — ale Wilhelm II, mając silną marynarkę, nie potrafił jej użyć. Hitler również nie potrafił użyć swojej. Bo gdyby w latach 1939 — 41 miał mniej okrętów podwodnych, a więcej nawodnych, to łącznie z Włochami i Japonią mógłby był wygrać tę wojnę . . . Ale tymczasem — wszystkie zwycięstwa na lądzie i w powietrzu nie zdały mu się na nic, bo straciwszy panowanie na morzu — tracił kolejno wszystkie swoje zyski na ziemi i w powietrzu.

Niedarmo Sir Julian Corbett pisał, że gdyby Napoleon więcej dbał o marynarkę, to Nelson przeszedłby do historii nie jako bohater i zwycięzca, ale jako nieudolny admirał.

NA PACYFIKU

Samoloty amerykańskie, startujące z Iwoszima, trzymają Japonię pod stałym bombardowaniem. Okinawa jest prawie zajęta, a przecież dzieli ją od południowego cypla Kyushu zaledwie 350 mil, to znaczy 8% odległości jaką Amerykanie musieli przebyć od Pearl Harbour.

Najważniejszym wydarzeniem na Pacyfiku była bitwa 7 kwietnia. Eskadra japońska, złożona z nowoczesnego nadpancernika "Yamato" /45.000 ton/, 2 krążowników i 6 kontrtorpedowców, zbliżyła się do wysp Okinawa bez osłony lotniczej. Sens tej ryzykownej operacji, który uszedł uwadze dziennikarzy anglosaskich, nie rozumiejących dlaczego zaangażowano stosunkowo słabe siły w tak niekorzystnych warunkach — nasuwa się dopiero po dokładnym przestudiowaniu bitwy.

Eskadra japońska miała służyć jako wsparcie i ewentualna pomoc w razie przymusowego wodowania dla kilkuset samolotów japońskiego lotnictwa lądowego, wysłanych przeciw morskim siłom Ameryki na tych wodach. Po prostu chciano zniszczyć z powietrza okręty amerykańskie pod Okinawa, a wówczas wojsko na wyspie znalazłoby się w trudnym położeniu.

Ale okazało się raz jeszcze, że lotnictwo zaokrętowane nie ustępuje lądowemu. W bitwie powietrznej, która się nad morzem wywiązała, Japończycy stracili podobno 341 samolotów, z czego 51 strąciła artyleria okrętowa, a 55 myśliwce lądowe. Reszta przypadła w udziale lotnictwu morskiemu U.S.A.

Jeśli cyfra ta jest nawet przesadzona, to w każdym razie mamy wytłumaczenie — dlaczego eskadra japońska pozostała bez osłony lotniczej. Większość samolotów została zniszczona lub uszkodzona, innym zbrakło paliwa. A wówczas samoloty amerykańskie rzuciły się na okręty pozbawione eskorty lotniczej. "Yamato" trafiony został trzema torpedami i ośmioma bombami. W 10 godzin później zatonął o 50 mil od Kyushu. Poza tym zatopiono obydwa krążowniki i trzy kontrtorpedowce. Pozostałym trzem kontrtorpedowcom udało się ujść.

Po stronie amerykańskiej trzy kontrtorpedowce zostały zatopione, i kilka innych okrętów amerykańskich i brytyjskich odniosło uszkodzenia. Między innymi trafiony został bombą flagowy lotniskowiec brytyjskiego admirała Vian. Straty lotnictwa amerykańskiego wyniosły tylko 9 samolotów.

Celność ognia przeciwlotniczego okrętów amerykańskich polega na nowych przyrządach celowniczych, pozwalających na 95% skuteczności. Pancernik "South-Dakota" zestrzelił pod Iwoszima 32 samoloty zanim sam został uszkodzony.

Drugi nalot japoński na flotę anglo-amerykańską pod Okinawa osiągnął słabsze wyniki. Zatonął kontrtorpedowiec amerykański, kilka innych okrętów odniosło uszkodzenia. Zestrzelono 118 samolotów japońskich.

Straty lotnictwa japońskiego w czterech kolejnych /dwa wzmiankowane duże i dwa mniejsze naloty grupowe/ atakach na flotę admirałów Nimitza i Frasera kosztowały 530 samolotów. Ani jeden okręt wojenny sprzymierzonych poza czterema kontrtorpedowcami nie został zatopiony. Gra okazała się nie warta świeczki. I jeszcze raz potwierdzony został fakt, że flota nie lęka się wrogiego lotnictwa, o ile jest dobrze chroniona przez własne.

W godzinie klęski Japonia powołała 77-letniego admirała Suzuki na szefa rządu. W Grecji — wobec kryzysu rządowego powołano na takież stanowisko adm. Vulgarisa. Jak bieda — to do . . . admirałów.

PARĘ FAKTÓW

Adm. Ritter, który sprawił, że 45 niemieckich okrętów podwodnych wpadło w Gdańsku w ręce Rosjan, został skazany na śmierć. O jakiego typu okręty podwodne chodzi: duże, małe, czy miniaturowe — niewiadomo.

Niedaleko Bremy w ręce Kanadyjczyków wpadły magazyny marynarki niemieckiej z ważnym sprzętem, aktami i personelem.

Niemiecki parowiec "Cap Arkona" /27.000 ton/ przybył z Gdańska do Kopenhagi, przepełniony uciekinierami. Przybyły tam także 3 kontrtorpedowce i 20 lekkich okrętów z Gdyni.

W trzech potyczkach morskich na Morzu Północnym Niemcy stracili około tuzina ścigaczy, Anglicy — dwa. Bitwy prowadzone były z nelsonowską zaciętością, nieraz na odległość 10 metrów. Dwa ścigacze niemieckie zostały staranowane.

Wielki konwój dla Rosji atakowany był kilka dni przez lotnictwo i okręty podwodne Hitlera. Anglicy stracili korwetę "Bluebell" i 1 statek handlowy. Niemcy — okręt podwodny i 12 samolotów. Kilka innych okrętów podwodnych zostało co najmniej poważnie uszkodzonych.

Brytyjczycy z powrotem wylądowali na Krecie. Jest to, po porażce 1941 roku, piękna stronica chwały dla *"Royal Navy"*. Przypomnieć należy, że O.R.P. "Garland" również działał na tych wodach.

Niemcy ogłosili, że w marcu zatopili 50 statków alianckich o łącznej pojemności 270.000 ton. Cyfrę tę należy podzielić przez dwa, a może i przez trzy, aby dojść prawdy.

W czasie grupowego nalotu na Kilonię lotnictwo brytyjskie zniszczyło stojący przy nadbrzeżu "kieszonkowy" pancernik niemiecki "Admiral Scheer" /13.000 ton/. Pancernik niedawno przybył z Gdyni. O zniszczeniu okrętu lotnictwo królewskie dowiedziało się dopiero po dokonaniu . . . zdjęć powietrznych portu.

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

Pewna ilość oficerów i podoficerów Marynarki Wojennej, z Szefem Sztabu Floty komandorem dypl. Majewskim na czele została oswobodzona z obozów niemieckich. Powitać winniśmy sercem całym tych obrońców Gdyni, Oksywia i Helu, którzy pięć i pół roku przecierpieli w niewoli niemieckiej, a przecież doczekali się wolności.

Na marginesie wypędzenia Niemców z Gdyni i Gdańska wspomnieć trzeba o pozostawionych tam przez nich okrętach i sprzęcie morskim. Należy się to bezwzględnie Polsce. Jednak jak dotychczas brak danych co wzięto /prócz 45 niewiadomego typu okrętów podwodnych/ i co się z tym stało.

JULIAN GINSBERT

Franklin Delano Roosevelt



Nie wiadomo, jakie miejsce wyznaczy Franklinowi Rooseveltowi historia w szeregu wielkich prezydentów Stanów Zjednoczonych. Nie wydaje się jednak ulegać wątpliwości już dziś, że będzie to miejsce czołowe, pod wieloma względami wręcz wyjątkowe. On bowiem jedyny w dziejach Stanów Zjednoczonych czterokrotnie obdarzony został przez współrodaków najwyższą godnością, raz zwyciężając większością, jakiej nie dane było osiągnąć żadnemu z poprzedników.

W ciągu przeszło dwunastu lat sprawowania tego urzędu spadła na Roosevelta odpowiedzialność ratowania Stanów Zjednoczonych z niebezpieczeństw zagrażających samym podstawom ich istnienia. W pierwszym wypadku był to kryzys gospodarczy, który postawił w roku 1931 i 32 najbogatsze społeczeństwo świata na skraju ruiny. W drugim wypadku zdołał Roosevelt uleczyć swój naród z chorobliwego złudzenia zwanego izolacjonizmem i poprzez kryzys przełomu 1941 — 42 poprowadził go ku wspaniałym zwycięstwom na obu półkulach na lądzie, na morzu i w powietrzu, kładąc jednocześnie podwaliny współpracy Ameryki z resztą świata w dziele budowy pokoju.

Na wiosnę roku 1932, w momencie gdy Roosevelt stanął po raz pierwszy do walki o prezydenturę, Stany Zjednoczone znajdowały się na dnie kryzysu gospodarczego. Fala bankructw wzmagała się z dnia na dzień. Liczba bezrobotnych przekroczyła cyfrę dziesięciu milionów. Całej gospodarce narodowej groził paraliż.

W takiej chwili, po trzech kolejnych kadencjach prezydentów republikańskich, wybrany został 48-io letni Franklin Delano Roosevelt, gubernator stanu nowojorskiego i były podsekretarz Ministerstwa Marynarki za prezydenta Wilsona. Nie było czasu do stracenia. Nie długo po objęciu urzędu Prezydent, wspomagany przez zespół doradców z pośród najtęższych mózgów kraju — przystąpił do dzieła i w krótkim czasie zdołał przeprowadzić przez Kongres kilka podstawowych reform gospodarczych i społecznych, kładących kres wybujałościom systemu kapitalistycznego.

Na ten system reform, zwanych "Nowym Ładem" — "*New Deal*", składały się trzy rodzaje ustaw.

Pierwszy z nich ograniczał wpływy wielkich organizacji gospodarczych, trustów i kartelów, utrudniając dalsze gromadzenie własności w jednych rękach, stwarzając korzystniejsze warunki rozwoju dla przedsiębiorstw małych i średnich, biorąc zwłaszcza w obronę interesy drobnych farmerów.

Drugi rodzaj środków zaradczych obejmował wielki plan robót publicznych, mających na celu zmniejszenie bezrobocia, jak i takie rozwinięcie naturalnych zasobów kraju, które mogłoby ułatwić uzdrowienie gospodarki narodowej i stworzenie na przyszłość lepszych podstaw jej rozwoju. Plan ten obejmował przede wszystkim budowę sieci wielkich tam i elektrowni oraz gospodarcze podniesienie okręgów zaniedbanych, jak n.p. doliny rzeki Tennessee, które stało się wzorem podobnych prac przeprowadzonych w naszym Centralnym Okręgu Przemysłowym.

Trzecia grupa reform zmierzała do stworzenia systemu ubezpieczeń społecznych, chroniących świat pracy przed skutkami zmiennego losu i koniunktury gospodarczej.

Pomimo potężnego sprzeciwu, montowanego przez t.zw. "sfery gospodarcze", pomimo drobnych, choć czasem przykrych niepowodzeń, podstawowe reformy weszły w życie, katastrofa została zażegnana, a struktura gospodarcza Stanów Zjednoczonych znacznie ulepszona.

Takie jest podjęte przez Roosevelta dzieło odbudowy gospodarczej i społecznej równowagi kraju, ukrócenia przerostów systemu kapitalistycznego, ochrony "szarego człowieka" przed wyzyskiem możnych, rzecznika sprawiedliwości społecznej.

Druga część jego wielkiego dzieła dotyczy w równym stopniu samej Ameryki, jak i reszty świata.

Prezydent Wilson dokonał wielkiego wysiłku, aby włączyć Stany Zjednoczone do współpracy nad utrzymaniem pokoju. Wyrazem tej współpracy miała być zapoczątkowana przez niego Liga Narodów. Ale społeczeństwo amerykańskie nie było na to przygotowane. Górowała w nim nieufność do wszystkiego, co nie jest amerykańskie, nieufność będąca spadkiem przeszłości i wynikiem oddalenia przestrzennego. Roosevelt zrozumiał na czym polegał błąd jego mistrza i poprzednika. To też, od pierwszej swej kadencji, rozpoczął wielki trud wychowywania społeczeństwa amerykańskiego do współodpowiedzialności za losy świata, który dzięki postępowi technicznemu stał się jednością, gdzie pokój, wolność i dobrobyt są niepodzielne.

"Nie wyobrażajmy sobie — mówił Prezydent jeszcze w październiku roku 1937-go — że Ameryka może uniknąć niebezpieczeństw grożących innym, że może ona spodziewać się litości ze strony napastnika, że zachodnia półkula nie będzie napadnięta. Złudzeniem jest przypuszczać, że dane nam będzie spokojnie korzystać z dóbr cywilizacji, gdy inni będą pozbawieni tego prawa . . ."

Była to praca na długą metę. Wyniki jej oglądaliśmy w latach 1939 — 41: Stany Zjednoczone same nie będąc w wojnie, podjęły wysiłek pomocy wszystkim tym, którzy przeciwstawiali się agresji państw "Osi". Dzięki powolnemu, rozumnemu przygotowaniu, społeczeństwo amerykańskie chętnie i dobrowolnie zgodziło się na ofiary na rzecz innych, odległych i mało znanych krajów, dlatego, że walczą one o ideały wyznawane przez Amerykę, dlatego, że ich zagrożenie na jakimkowiek punkcie globu jest zagrożeniem ich również i w Ameryce.

Po ośmiu latach wysiłków, w okresie trzeciej kampanii wyborczej, okazało się, że w sprawach polityki zagranicznej społeczeństwo Stanów Zjednoczonych, bez względu na podziały partyjne, jest nie tylko jednomyślne, lecz że partia i kandydat republikański starają się przelicytować Prezydenta w hasłach pomocy walczącej wówczas samotnie W. Brytanii. Był to olbrzymi sukces pracy wychowawczej, która doprowadziła do przeniknięcia podstawowych zasad polityki zagranicznej tak głęboko w świadomość całego społeczeństwa, że rozprawia ono już tylko nad sposobami ich wprowadzenia, a nie nad samymi zasadami.

To samo zjawisko obserwowaliśmy w czasie wyborów w roku 1944, gdy zasada współpracy Stanów Zjednoczonych w organizacji i utrwaleniu pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego stała się kanonem obu programów, czyli t.zw. "platform wyborczych", tak demokratów, jak i republikanów.

Zdając sobie sprawę z istniejących nawet w szeregach własnej partii oporów przeciwko bezpośredniemu udziałowi w wojnie, Roosevelt postanowił przekształcić Stany Zjednoczone w "arsenał demokracji". Przestawił więc produkcję kraju na tory wojenne, a przez to przygotował go na czynne wzięcie udziału w konflikcie, który — jego zdaniem — w niedługim czasie musiał nieuchronnie ogarnąć i Amerykę. W pierwszych tygodniach trzeciej kadencji, w lutym roku 1941-go, na wniosek Prezydenta Kongres uchwala ustawę "o pomocy walczącym demokracjom" czyli t.zw. "*Lease and Lend Bill*". Na mocy tej ustawy prezydent jest władny udzielić takiej pomocy, jaką uważa za stosowną każdemu krajowi, "którego obrona ma żywotne znaczenie dla obrony Stanów Zjednoczonych".

Uzbrojony w takie pełnomocnictwa Roosevelt rzuca na szalę olbrzymie zasoby Stanów dla podtrzymania przede wszystkim W. Brytanii a następnie zaatakowanej przez Niemców Rosji, która dzięki pomocy amerykańskiej może otrząsnąć się z pierwszego uderzenia niemieckiego i również w znacznym stopniu dzięki dostawom "*Lease and Lend*", odeprzeć wroga spod Stalingradu aż po Berlin.

Jeszcze przed przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do wojny Prezydent Roosevelt wraz z Premierem Churchillem wykreślają i formułują ideowe założenia światowych zmagań. "Karta Atlantycka" to szczytowy punkt wzlotu obu mężów stanu jako ideologów tej wojny.

Od grudnia roku 1941, od czasu ataku japońskiego na Pearl Harbour, praktyczne zajęcia Prezydenta jako naczelnego wodza sił zbrojnych Stanów oraz współtwórcy światowej strategii Zjednoczonych Narodów, dzięki którym stoją one dziś u szczytu powodzeń wojskowych — odciągnęły uwagę jego od planowania przyszłego, lepszego i sprawiedliwszego świata, ku nakazom i konieczności toczącej się walki. Chwila obecna nie jest sposobna do rozważań nad tym, jak w okresie między Teheranem a Jałtą, główny ideolog tej wojny starał się pogodzić swe górne wskazania z potrzebami współnego działania Sprzymierzonych dla pobicia wspólnego wroga. Nic jednak nie zmieni faktu, że w najbardziej krytycznych chwilach tych zmagań wielkie słowa Prezydenta Roosevelta mobilizowały moralne i materialne siły wolnego świata, że w imię przez niego najwymowniej głoszonych ideałów Zjednoczone Narody doprowadzają do zwycięskiego końca największą wojnę dziejów ludzkości.

A posiew haseł Prezydenta Roosevelta nie zginął. Zakiełkował on głęboko w sercach ludów całego świata.

M. K. DZIEWANOWSKI

WIERSZE

PAMIĘCI STEFANA BORSUKIEWICZA*

Kiedy serce żywe gnają wiatry,
Chwiejna czasza światłem się wypełnia,
A nad głową pląsa żart skrzydlaty —
Majak szczęścia albo księżyc w pełni.

A gdy miejsca zabraknie w przestrzeni,
Oczy z nieba opadną w malignie;
Ziemia nagle uderzy o zenit
I na sercu zdumionym ostygnie.

Dziwny posmak w sekundzie odlotu
— Gdzieś pod słońcem zwiędnie srebrna chusta —
I tak łatwo zamienić się w motyw,
Kiedy tyle ich było na ustach.

* Stefan Borsukiewicz, poeta-żołnierz, zginął śmiercią spadochroniarza.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

DO SĄSIADA

Jakaż siła drapieżna, niszcząca
Niepokojem kołata się w mózgu?
Czemu chciwie tak drga każdy muskuł?
Czemu w oczach zapala się żądza?

Bóg ci ziemię dał wielką i jasną,
Z głębi skał wypruł żyły bezcenne
— I by wygnać z niej głód, czarnoziemem
Posmarował ją z wierzchu jak masłem.

Innym ciasno i biednie — lecz miło,
Bo u siebie — a to jest najdroższe.

A ty do nich dobierasz się nożem,
Kajdanami, i krwią, i mogiłą.

Szczęścia szukasz? Lecz ziemia umarła
Tylko straszy i w serce się wgryza.
Chociaż martwa, przybita do krzyża,
Przyjdzie nocą i skoczy do gardła.

Lepiej wróć — ulecz duszę zatrutą.
Ot, posłuchaj, co konik gra polny . . .
Ale wiem, gdy odkryjesz w nim wolność,
Opętany, rozdeptasz go butem.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

KRZYŻE PRZYDROŻNE

Na drogach z Caen do Falaise
Chrystus na skrzyżowaniach
oczy ma pełne łez
i łzami twarz zasłania.

Idę przez lasy do Argentan
smagany wzrokiem z krzyża.
W sercu mi ciążą gruzy Caen
i straszy duch Paryża.

Czerwoną krwią bełkocze Dives
u stóp Chrystusa płaczem.
Kto z nas pozostał jeszcze żyw
pancerze w rzece płucze.

Jakże daleko tak mam iść
w pancernej awangardzie
i zamiast krzyżom kwiat i liść
kłaść trupy rząd przy rzędzie?

To nie bluźnierstwo, lecz modlitwa:
"Zejdź z krzyża Chryste, wstrzymaj nas!
Pokojem Bożym znów zmartwychwstań
i wojnę zakończ! Już jest czas!"

Normandia w sierpniu 1944 r.

WACŁAW LISZKOWSKI

DUMA O BANDERZE

Widziała wiele burz i wiele chwały,
Upór i męstwo, wierność do ostatka,
A była zawsze dumna, więc w górze się chwiała
Ta samotna bandera samotnego statku.

A pod nią się kołysał żywej Polski kawał,
Toporem wojny odcięty od portu.
Tęsknił do Gdyni, więc w drodze przystawał,
Szukał wydm Helu pośród szkockich fiordów.

Syn pogrobowy poległych w Narwiku
Błądził po świecie wśród morskiej zawiei,
Przekraczał kręgi palące zwrotników,
Marząc, że ujrzy Ląd Dobrej Nadziei.

Znał samotną banderę druh i nieprzyjaciel,
Powiewała w Sycylii, w Anzio i w Salerno,
Zdawało się, że kocha tę dolę tułaczą
. . . A ją jedynie gnała tęsknota bezmierna.

Aż dobiła do portu w dalekiej obczyźnie.
Pośród dziecięcych gwarów, dziecięcej radości,
Wśród tłumu polskich dzieci na maszcie zawiśnie:
Dar od Polski dzisiejszej dla Polski przyszłości.

Załodze O.R.P. "Narwik" pod wrażeniem uroczystości ofiarowania bandery dzieciom polskim w Nowej Zelandii — wiersz ten poświęca autor.

LEOPOLD HARTMAN

MacArthur wraca na Filipiny

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

III. Kraj i ludzie

M.p. w lutym 1945

Archipelag filipiński należy prawdopodobnie do najrozleglejszych na świecie. Składa się on z 7100 wysp, spośród których wiele nie jest nawet oznaczonych na mapach. Kilka zaledwie ma ludność powyżej miliona. Archipelag rozciąga się 1152 mile od północy na południe i 688 ze wschodu na zachód. Ogólna powierzchnia wynosi 115.000 mil kwadratowych. Ludność wynosi w tej chwili ok. 18 milionów.

Jak miałem sposobność przekonać się osobiście — klimat jest tropikalny, powiedziałbym nawet b a r d z o tropikalny. Wielka jest ilość deszczów, monsoonów i tajfunów. Klimat ten wymaga oczywiście bardzo starannych urządzeń higienicznych i rozległego aparatu służby zdrowia.

Kraj jest bardzo bogaty: wiele odmian cennych drzew w lasach, które zajmują 65% obszaru, bogactwa kopalniane, jak złoto, srebro, miedź, ruda żelazna, mangan i ruda chromowa, żyzna ziemia — jedna z najurodzajniejszych na świecie, na której rosną wszelkie odmiany roślin tropikalnych i niektóre odmiany innych. Wody jest bardzo dużo, chociaż niezawsze bezpiecznie jest ją pić.

Obroty handlowe Filipin ze Stanami Zjednoczonymi były przed wojną bardzo ożywione. Głównym produktem wywozu z Filipin był cukier, który dzięki bezcłowemu obrotowi między metropolią a Filipinami stał się głównym produktem wysp. O ile się orientuję — sprawa utraty rynku amerykańskiego na rzecz cukru z Kuby, położonej znacznie bliżej Stanów Zjednoczonych, należy do największych bolączek polityków filipińskich, którzy zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie nastanie z chwilą całkowitego oderwania się Filipin od St. Zjedn. Poważnymi produktami eksportowymi są: tytoń i kopra /cygara filipińskie uważane są za niemal dorównujące hawańskim/.

Najważniejszymi produktami rynku wewnętrznego jest ryż i ryby — główne składniki filipińskiego "menu".

Górnictwo rozwijało się ostatnio doskonale. Filipiny zajmują szóste miejsce w światowej produkcji złota, mają dużą ilość srebra, największe na świecie złoża chromu i największe na Dalekim Wschodzie złoża rudy żelaznej. Wszystkie te kopaliny znajdowały rynki zbytu w Stanach Zjednoczonych i Japonii.

Ludność archipelagu posługuje się 87 językami i narzeczami, między sobą jednak najłatwiej jest im porozumiewać się w języku angielskim. Najważniejszy język miejscowy *tagalog* został uznany za język oficjalny. Używa go ok. 25% ludności, rozumieją go zaś prawie wszyscy. Za panowania amerykańskiego na wyspach używano dwóch języków oficjalnych — angielskiego i hiszpańskiego. Statystyki wykazują, iż 27% ludności włada angielskim, zaś 3% — hiszpańskim. Mimo iż w czasie okupacji japońskiej ogłoszono za oficjalne języki japoński i *tagalog*, większość proklamacji i gazet musiano nadal drukować po angielsku.

Oficjalna publikacja Armii Stanów Zjednoczonych wspomina o znaczeniu strategicznym Filipin w samym centrum teatru operacji daleko-wschodnich jako o bardzo ważnym punkcie węzłowym dla komunikacji morskiej i lotniczej między Japonią, Chinami z jednej strony, a Indiami Holenderskimi, Indiami, Australią i Europą — z drugiej. Ta sama publikacja Armii Amerykańskiej stwierdza w konkluzji, iż Stany Zjednoczone muszą usunąć Japończyków z Filipin ażeby: 1/ wypełnić zobowiązanie wobec Filipin i zapewnić im niepodległość, 2/ utrzymać swoje stanowisko mocarstwa światowego i swój prestiż na Wschodzie, 3/ zapewnić sobie dostęp do ważnych surowców, 4/ urzeczywistnić nadzieję Filipińczyków i spełnić obietnice generała MacArthura: "Ja powrócę".

A teraz słów kilka o ludziach.

Z tego krótkiego zarysu historycznego, który uprzednio podałem, nietrudno jest wnosić, jak różnorodne i często sprzeczne były wpływy, które kształtowały kulturę kraju i charakter narodowy. Nie ulega wątpliwości, iż wpływ hiszpański był dość duży — szczególnie w dziedzinie kulturalnej — niemniej jednak sądzę, iż polityka Stanów Zjednoczonych wobec kraju i jego ludności wywarła wpływ decydujący.



Filipińczycy wracają do siedzib uwolnionych przez wojska amerykańskie

Pamiętam niedawną rozmowę z pewnym oficerem holenderskim o Filipińczykach. Holendrzy znani są z postępowej i bardzo rozumnej polityki kolonialnej. Niemniej jednak oficer ten skrzywił się niechętnie i powiedział: "Amerykanie klepią Filipińczyka po ramieniu i mówią mu: *"You are a good boy, buddy"*. — To nie jest polityka białych ludzi wobec kolorowych . . . " Trudno wydawać jakieś zbyt autorytatywne opinie, mogę już teraz — po bardzo powierzchownych obserwacjach — stwierdzić, iż polityka ta daje dotąd lepsze wyniki, niż jakakolwiek inna stosowana przez ludzi białych w ich posiadłościach.

Filipińczycy zrobili na mnie wrażenie dużych dzieci — czasem trochę może rozkapryszonych. Lubują się w złocie i świecidełkach, stąd mundury celników i innych urzędników szamerowane są złotem bardziej, niż jakiekolwiek inne — może z wyjątkiem bardziej operetkowych mundurów państw Południowej Ameryki i Bałkanów. Są mili, skromni, grzeczni, uprzejmi i bardzo gościnni. Korespondenci wojenni na Leyte, którzy zakwaterowani byli w domach tubylczych nie mogli w żaden sposób wyperswadować gospodarzom, by przyjęli zapłatę za mieszkanie i śniadania

Są oni z natury spokojni i porządni, mają respekt dla władzy i są dobrym materiałem na żołnierzy. Nie są natomiast szczególnie pracowici. Posiadają dużą dozę dumy, godności i bardzo nie lubią być przedmiotem żartów lub kpin. Natomiast do śmiechu są zawsze skorzy. Ich osłabione poczucie humoru i duma powodują nadwrażliwość na cokolwiek, co uważać mogą za nieuprzejmość w stosunku do siebie.

Filipińczycy są raczej leniwi i szczególnie niezdolni do rzemiosł i zawodów technicznych /jak zresztą większość ludów wschodnich z wyłączeniem może Chińczyków/. Są oni bardzo lekkomyślni i nie kłopocą się jutrem. Ta cecha ich charakteru w połączeniu ze słabością do rzeczy świecących i nowych była źródłem wielkiej fortuny dla obrotnych kupców szanghajskich. Zamożny Filipińczyk uważał mianowicie za punkt honoru zmieniać auta dwa — trzy razy do roku, zwykle wybierając najbardziej luksusowe modele. Gdy kupował nowy wóz, nie troszczył się o poprzedni i sprzedawał go za bezcen. Mądrzy kupcy w Szanghaju wpadli na trop i zaczęli sprzedane samochody sprowadzać do Szanghaju, gdzie sprzedawali je po cenach niemal równych cenie nowych samochodów.

Filipińczycy bardzo lubią muzykę, literaturę i sztukę. Ich literatura odegrała wielką rolę w walce o niepodległość. Stąd ich sposób wyrażania się — bardzo literacki. Wśród pisarzy na pierwszy plan wysuwają się poeci na zupełnie dobrym poziomie. Twórczość literacka tubylców ma przeważnie treść bardzo uczuciową i romantyczną. Dziennikarz manilski, Carlo Romulo, który opuścił Corregidor razem z generałem MacArthurem, obecnie zaś jest Komisarzem Cywilnym odzyskanych terenów, otrzymał wysoką nagrodę dziennikarską Stanów Zjednoczonych — nagrodę Pullitzera.

W ciągu ostatnich dwudziestu lat podniósł się również znacznie poziom audycji muzycznych; rozwinęła się znacznie Orkiestra Symfoniczna w Manili. Najlepszym dowodem, iż Filipińczycy są z natury muzykalni jest fakt, iż żniwa odbywają się zawsze pod akompaniament muzyki.

Ostatni okres przyczynił się znacznie do powstania odrębnego stylu budownictwa na Filipinach. Jest on w pewnej mierze mieszaniną budownictwa tubylczego ze stylem hiszpańskim, ostatnio doszło trochę "amerykanizmu" dość miernej klasy.

Jedną z najbardziej osobliwych cech charakterystycznych obyczajów filipińskich jest jedyne na Wschodzie całkowite niemal równouprawnienie kobiet, które biorą udział w wyborach i urzędach publicznych, a także doradzają mężom w interesach. Wynikło to zapewne z ustroju matriarchalnego, który obowiązywał wśród wielu plemion tubylczych, a także z wczesnego wpływu Kościoła.

Podział społeczny jest bardzo silny. Około 5% ludności stanowi elitę, która kontroluje całe życie polityczne i gospodarcze — a także w dużej mierze kulturalne kraju. Wykształceni bogaci Filipińczycy żyją na wysokim poziomie, podczas gdy wielka masa chłopów i robotników rolnych żyje nadal w ciężkich i prymitywnych warunkach. Średnia klasa prawie nie istnieje. Początki stanowią urzędnicy państwowi niższych kategorii i sklepikarze, ale znowu większość drobnego handlu na Wschodzie jest w rękach Chińczyków /z wyjątkiem tych terenów, do których dotarli kupcy japońscy/. Tak więc demokracja polityczna Filipin musi przekształcić się w demokrację społeczną, co — sądzę — będzie dość trudne do przeprowadzenia.

Oddzielną grupą narodowościowo-rasową są Morosi, zamieszkali przeważnie na południowej wyspie Mindanao. Są to mahometanie, a więc kierują się bardziej przywiązaniem do religii niż do jakiejkolwiek władzy. Buntowali się oni ciągle przeciwko władzy hiszpańskiej, prowadzili partyzantkę przeciw Amerykanom do 1913 roku i są wszelkie dane po temu, iż Japończykom również nie udało się ich ujarzmić. Są to urodzeni wojownicy, często zabijający każdego spotkanego "niewiernego" i osobistych wrogów. Są zdolnymi rzemieślnikami i dobrymi rybakami. Dawniej głównym ich zajęciem było korsarstwo.

RYSZARD KRYGIER



Oficer filipiński wśród mieszkańców wyspy Luzon

Poradnik żołnierski

Sierż. W. L-ki z 1 Dyw. Panc.

Żona Pana ma zupełną słuszność: każdy żołnierz przebywający poza terenem W. Brytanii, gdzie pozostawił rodzinę, może przesłać do domu sześć paczek rocznie wolnych od cła i podatków. Z tym jednak zastrzeżeniem, że żadna z paczek nie może przekroczyć wartości £2 i posiada nalepioną specjalną naklejkę /W.5192/, którą podpisuje nadawca paczki i wydający ją oficer. Po druczki te należy się zgłaszać do oficera gospodarczego oddziału. Paczki wysłane bez tych specjalnych nalepek bywają oclone, co z t.zw. *purchase tax*, w wielu wypadkach przewyższa koszt przesłanych przedmiotów. Nie dziwię się, że w takim wypadku żona Pana nie jest zadowolona z prezentów.

St. strz. M.N.

Ponieważ otrzymał Pan kategorię E, nie widzę możliwości, by Pan mógł pozostać w czynnej służbie wojskowej, nawet "na własną prośbę", gdyż było by to sprzeczne z postanowieniami ustawy o powszechnym obowiązku wojskowym. Wspomina Pan w swoim liście, że zna Pan wypadki, w których w drodze wyjątku zezwolono na dalszą służbę żołnierzom posiadającym kat. E. Rzeczywiście, wyjątki takie istnieją. W dalszej czynnej służbie wojskowej, mimo zakwalifikowania przez Wojskową Komisję Lekarską do kat. E., mogą pozostać za osobistą zgodą Ministra Obrony Narodowej j e d y n i e i w y ł ą c z n i e podoficerowie zawodowi. Ponieważ Pan nie jest podoficerem zawodowym, nie przewiduję, aby prośba Pana, o ile ją Pan zechce złożyć do władz wojskowych, mogła być uwzględniona.

Radzę jednak zrobić coś innego: o ile posiada Pan odpowiednie wykształcenie i fachowe urzędnicze przygotowanie, po zwolnieniu z wojska może się Pan starać o przyjęcie na urzędnika wojskowego.

Dziękuję serdecznie za życzenia — oby nam było pisane jak najprędzej wrócić w progi rodzinnych domów, w naprawdę Wolnej i Niepodległej Polsce.

Kapitan M.N.

W sprawie wysłania jakiejś wiadomości do rodziny wywiezionej do Z.S.R.R. proszę się zwrócić do P.C.K. Jest możliwe wysyłanie krótkich, prywatnych wiadomości, przy pomocy *airgraph'ów*. Z doświadczenia wiemy, że tylko krótkie wiadomości mają szanse dojścia do adresata.

Chorąży T — ski.

Ponieważ spędza Pan urlop na terenie Anglii, o przedłużenie proszę się zwrócić bezpośrednio do Komendanta Polskiego Biura Wojskowego w Londynie /adres: 145, Harley Street, London, W.1/. Powody, które skłaniają Pana do przedłużenia urlopu, są tak ważne, że nie przypuszczam, by prośba Pana była nieuwzględniona. Przy sposobności podaję, że ci żołnierze, którzy urlopy spędzają na terenie Szkocji, mogą zwracać się o przedłużenie urlopu do Komendanta Polskiego Biura Wojskowego w Edinburgh'u /adres: 17, Walker Street/. Przedłużenie urlopu może nastąpić tylko wyjątkowo w bardzo ważnych wypadkach. Życzę Panu powodzenia. Proszę się nie przejmować chwilowymi niepowodzeniami.

Lament odgrzewanego myśliwca

Z Wrednal,* kuchni myśliwskiej, wychodzą nie tylko świeżo upieczeni myśliwcy, lecz również odgrzewani. Kto zbyt długo pokutował na "odpoczynku", aż ogień myśliwski przygasł w jego piersi, komu ręka odwykła od drążka ze spustem działek i karabinów, dla kogo trzysta mil na godzinę jest niezwykle szybko, a dwadzieścia tysięcy stóp — dziwnie wysoko, ten idzie do Wrednal, na *"refresher'a"*.

Tam z niego najpierw szydzą, pytając, czy przyszedł na instruktora, następnie na dalsze tortury oddają w ręce instruktora belgijskiego, o nazwisku *Dieu*. /Łatwo zrozumieć, że w rozmowie z nim nie należy wykrzykiwać: *Oh, mon Dieu!*/ Tenże Dieu uważa *refresherów* za "gremliny" to znaczy twory złośliwe, które nie pozwalają regularnie latać regularnym kursistom. Dawkuje im /*refresherom*/ przeto "Spitfire'a" w ilości 1 — godziny na tydzień. O wypadkach śmiertelnych ogłasza pozostałym przy życiu pilotom w formie: — "Dopiero co udało mu się zabić się" — /*Just managed to get killed"*/.

Trudno dłużej ukrywać, że sam do Wrednal poszedłem na odgrzanie. Fakt ten wywołał żywe poruszenie wielu kół i liczne komentarze. Znajome Angielki porobiły zamówienia na perfumy i jedwabne pończochy; życzliwi Anglicy zdziwili się: — *"You have done your share"*; życzliwi Polacy to samo: — "Zrobiłeś swoje" — mówią. "Czas też robi swoje" — odpowiedziałem. Władek, prezes Klubu Pesymistów, starał się powstrzymać mnie argumentem: po co przedłużać wojnę, a nawet dawać Niemcom szanse zwycięstwa? A w dywizjonach zaczęto mówić o potrzebie ODMŁODZENIA stanu myśliwskiego.

Ale i tak poszedłem. W Wrednal zaprzyjaźniłem się z Belgiem i dzięki temu już w pięć tygodni skończyłem dziesięciodniowe *refreshment*. Z Wrednal posłali mnie do G.S.U.

Nikt dokładnie nie wie, co znaczą litery G.S.U. Jest to *airfield*, w Anglii, skąd idzie się już prosto do dywizjonu, po należytym wyekwipowaniu we wszystkie luksusy myśliwskiego ubrania: futrzana kurtka, futrzane, rozkoszne buty, z których cięciem scyzoryka można zrobić wykwintne, cywilne półbuty, ciepła bielizna — wełna z jedwabiem. Możliwe, że G.S.U. znaczy: Grunt Się Ubrać.

Tu również lata się, już na ostatnim typie "Spitfire'a", tym samym, na którym latają dywizjony. Numeru oczywiście nie mogę wymienić, bo to straszna tajemnica wojskowa. Ciekawych odsyłam do codziennej prasy angielskiej; tamże fotografie samolotu.

Tutaj więc dosiadłem tego "Spitfire'a . . . ątkę", żeby zmierzyć jego siły i możliwości. /Raczej własne siły i możliwości?/ Są przerażająco wielkie. /Jego, nie moje/. Trzy razy więcej koni, niż w tym silniku, z którego byłem dumny, jak paw, w 1940 roku.

Poleciałem na południe, nad morze, bo nad wybrzeżem najtrudniej zabłądzić. /A propos: zabłądzić — znowu mi się przypomina mój przyjaciel Zbyszek, instruktor pilotażu. O dziesięć mil od Torturton jest wyniosły zamek, Biber Castle; kiedyś przy dobrej pogodzie widać go było z lotniska w Torturton, na co zwróciłem uwagę Zbyszka. — "Więc to jest Biber Castle? — zawołał Zbyszek — właśnie, kiedy do tego zamku dolatuję, to już wiem, że zabłądziłem"/.

Przepraszam, już nie będę. Poleciałem więc na południe, przeleciałem nad Winchester, uroczym, starym miasteczkiem, z poważną, surową katedrą; trzymam się rzeki, która doprowadzi mnie do morza. Po drodze Southampton.

I nagle nad Southampton, patrząc na wynurzającą się przede mną z mgieł Isle of Wight, doznaję dziwnego wstrząsu: wrzesień, 1940. Tutaj, nad Southampton zaczyna się moje myśliwskie latanie; tutaj, w angielskim, 561ym dywizjonie, w dwunastkę witamy "Dorniery", "Junkersy" i "Messerschmitty", przylatujące z za Kanału setkami, tutaj, w pierwszym locie operacyjnym, gubię prowadzącego i w śmiertelnym strachu szukam go pomiędzy niemieckimi maszynami; tutaj, zaatakowany od tyłu, zawiązuję rozpaczliwy *dog-fighting*, pocę się w ciasnych skrętach, wsiadam na ogon przeciwnikowi — i wtedy dopiero spostrzegam, że jest nim kolega z mego dywizjonu; tutaj, po raz pierwszy, wpadam w balony w chmurach /po raz drugi — w Newcastle, w rok później, wychodząc z nich tą samą metodą: z zamkniętymi oczyma/.

Dzisiaj nie ma już balonów nad Southampton, nie ma nad Newcastle, nigdzie już nie zagrażają one pilotom, stosującym myśliwską nawigację; powietrze nad Anglią zyskało dzięki temu wiele na uroku.

Krążę dalej nad Southampton. Coraz więcej wspomnień odżywa na widok tak dobrze kiedyś znanych zarysów lądu i morza. Mój przyjazd do dywizjonu i straszna trema: mam wylatane czternaście godzin na "Hurricane'ie" w O.T.U. — i to wszystko. Nie bawiono się wtedy w gruntowne szkolenie. *Operational Training Unit* obznajmiało nas właściwie tylko z kabiną samolotu i dawało nieco praktyki w lądowaniu. Wtajemniczenie w taktykę myśliwską ograniczało się do częstokroć powtarzanego przez komendanta O.T.U. zdania: *"Never, never, never follow the enemy down!"* /Nigdy, nigdy, nigdy nie ścigaj, nieprzyjaciela w dół/ — Do dziś dnia nie wiem, dlaczego.

Nic dziwnego jednak, że przeszkolenie na operacyjnego myśliwca trwało wtedy tydzień, lub dwa: *"Battle of Britain* /Bitwa o Wielką Brytanię/ zaczęła się, straty były wielkie, duży obrót — mały zysk. Niedoszkoleni myśliwcy szli do dywizjonów i uzupełniali swoje wyszkolenie w operacjach. Dlatego największy procent strat był w pierwszym spotkaniu. Kto przeżył trzy walki, ten miał szanse przeżycia Bitwy o Brytanię; był już doświadczonym weteranem.

Przyszedłem wtedy do dywizjonu, jako myśliwski gołowąs, żółtodziób, podfruwajek. "Hurricane I" był dla mnie samolotem za dużym, za silnym, za szybkim. Co gorsza, moja angielszczyzna była uboga, a przez radio— ostatnia nędza — ani na odbiór, ani na nadawanie, a dywizjon był angielski. Na szczęście, dowódca się jąkał, mówił więc powoli, a wiele słów powtarzał po kilka razy, w całości, lub częściowo, co ogromnie ułatwiało mi zrozumienie go.

Dowódcą *flight'u* był "J a mb o", myśliwiec z krwi i kości, nawet więcej krwi, niż kości. "J a m b o" zaraz na początku swojej kariery myśliwskiej, jeszcze we Francji, nadkręcił sobie kark przy kraksie: kiedy zestrzelił pierwszego w życiu Niemca, tak był ciekaw, że próbował wylądować obok szczątków swojej ofiary. Skończyło się tym, że "Hurricane" fiknął kozła, a "J a m b o" poszedł na miesiąc do szpitala. Po *Battle of Britain* "J a m b o" latał na Malcie i tam zasłynął na cały światek myśliwski astronomiczną liczbą zestrzeleń.

Moim dowódcą sekcji był "T a f f y", blady, chudy i małomówny, z długimi, kręconymi wąsami. Mówiono, że mechanicy zawsze zamykali mu kabinę przed wykołowaniem, podczas gdy "T a f f y" oburącz przytrzymywał wąsy, bo przyciąłby je niechybnie, gdyby próbował zatrzasnąć kabinę w locie. "T a f f y" latał precyzyjnie, widział w powietrzu wszystko i strzelał nieomylnie; kiedy prowadził sekcję, lub flight, czuło się zaufanie nie tylko do niego: nabierało się pewności we własne siły. To wielki atut dowódcy, jeśli włada czarem dodawania innym zaufania do siebie samego.

Ale wszystkich o wiele przerastał w cnotach myśliwskich — Beamish, wielki Victor Beamish, który prowadził nasz *wing* pod koniec *Battle of Britain*, a potem wiódł nas na pierwsze, najpierwsze *sweep'y* nad okupowaną Francją, przedwiośniem 1941 roku. Nikt dziś nie wie dokładnie, ile strąceń naprawdę miał na swym rachunku nieodżałowany Beamish, bo jeśli do ostatecznej kraksy nie śledził swej ofiary — nie zaliczał sobie Victor takiej wiktorii. — "Palił się, ale nie wiem, co się dalej stało" — mówił "inteligentom" i nie pozwalał im powiększać swego konta zestrzeleń. A było ono pokaźne.

Tak sobie wspominałem — nie, nie przez cały czas nad Southampton — minąłem Bournemouth, doleciałem do półwyspu Portland, zawróciłem, i, lecąc nad lądem, rozpoznawałem lotniska, z których jesienią 1941 roku, już w polskim dywizjonie, lataliśmy nad Cherbourg, Brest i to, co między nimi.

"Lataliśmy na Cherbourg". Przyszło mi do głowy, że, gdyby to zdanie usłyszał młody myśliwiec, który lata od pół roku, byłby niechybnie przekonany, że znaczy to: bombardowaliśmy Cherbourg. Uprzytomniłem sobie nagle różnicę pomiędzy lataniem myśliwskim wtedy i teraz, różnicę zadań, sposobów i środków. "Wtedy" — to było czyste, myśliwskie latanie: cel był w powietrzu, wróg w powietrzu i walka w powietrzu.

Trzy fazy można rozróżnić w okresie 1940 — 1942. Pierwsza, *Battle of Britain* — typowe, najbardziej myśliwskie latanie: samolot przeciw samolotowi, pilot w walce z pilotem, ziemia nie miesza się do wojny nad obłokami. Druga faza — ochrona konwojów, już związana z ziemią /przepraszam, z wodą/, ale przeciw atakom z powietrza, przeciw samolotom. Trzecia faza — *sweep'y* nad okupowanym terenem, bądź jako eskorta bombowców czyli znów przeciw atakom z powietrza, bądź jako wyzwanie do walki, prowokacja nieprzyjaciela do przyjęcia spotkania — w powietrzu.

Ale w tej trzeciej fazie przychodzi początek zniżenia lotów myśliwskich: zaczynają się loty na *"rhubarb"*; ostrzeliwanie celów ziemnych, lotnisk, stanowisk artylerii, a w pewnym okresie — gorzelni spirytusowych. Celem tego ostatniego jest zmniejszenie nieprzyjacielskiej produkcji materiałów pędnych. Gorzelnię zapalić łatwo, a pali się pięknie, wielkim, błękitnym płomieniem. Na te loty starano się wysyłać harcerzy i abstynentów: "trunkowi" nie mieli serca niszczyć takich zapasów alkoholu.

A potem biednym "Spitfire'om" podwieszono bombę. Na początek — jedną lekką, na próbę. Potem podwieszono cięższą bombę, żeby przyzwyczaić. Potem dwie. Wreszcie trzy bomby, trzy grube, tłuste, ciężkie bomby. Cóż za okrucieństwo!

Wzdrygnęła się rasowa, myśliwska maszyna, wydłużyła start, ciężko wzniosła się w powietrze, zleniwiała w zakręcie. Kazano jej bombardować, kazano jej odstawiać robotę "Lancaster'ów"; mało tego: kazano jej ostrzeliwać kolumny, zatapiać barki, niszczyć punkty oporu, walczyć z czołgami! — Ta po co panu piechota, panie Eisenhower, myśliwcy zrobią całą robotę!

W tym miejscu ze złością podciągnąłem maszynę, żeby wyładować swój gniew i żal w beczce. W porę sobie przypomniałem, że z dodatkowym zbiornikiem n i e w o l n o k r ę c i ć a k r o b a c y j !

Otóż macie nowoczesnego myśliwca!

GUSTAW NIERAD

* Wszystkie nazwy miejscowości o znaczeniu wojskowym — są zmyślone.



Eskorty

Podczas ostatniego krótkiego urlopu Faraona, pojechaliśmy z nim razem odwiedzić Małego i Dużego Leszka w ich dywizjonie w W. Brytanii. Przybyliśmy na tę stację myśliwską koło godziny dziesiątej przed południem, i — naturalnie — zastaliśmy na miejscu tylko personel ziemny, bo nasz dywizjon jeszcze nie wrócił z nad Kontynentu. Poszliśmy więc na lotnisko obejrzeć bliżej samoloty, których Faraon nie znał, jako, że stale lata na "Spitfire'ach", a to były "Mustangi".

Oczywiście Faraonowi nie może się podobać żaden inny samolot prócz "Spitfire'a", więc jakkolwiek zachwalałem wszystkie wspaniałe zalety tej maszyny myśliwskiej o wielkim zasięgu i udźwigu — Faraon odnosił się do niej nadal z najwyższym powątpiewaniem.

—Watpię, czy "toto" w ogóle lata — oświadczył. — A jeżeli nawet lata, to czy na tym można dogonić "Focke Wulffa" i narobić mu nieprzyjemności . . .

Wzruszyłem ramionami.

—Jeżeli uważasz, że zestrzelenie szesnastu "Focke Wulffów" przez ten dywizjon w jednym tylko locie nie jest dla Niemców prawdziwą przykrością, to rzeczywiście nie ma o czym gadać.

—No, raz im się udało . . . przyznał niechętnie.

—Wcale nie raz, bo już mają kilkudziesięciu. Ile razy dochodzi do spotkania, "Mustangi" dają Niemcom taką samą szkołę, jak wy: piorą ich, aż iskry idą!

—No, a co mają robić? — powiedział wykrętnie. — Rezedę wąchać? Ale ja wolę "Spitfire'a".

Nic mu już nie odpowiedziałem, bo po pierwsze nie było warto, po drugie zaś — zobaczyliśmy obaj wracające w szyku "Mustangi", co ostatecznie musiało nawet najbardziej upartego osła przekonać, że "toto" lata i w dodatku pięknie lata.

Podeszli, wylądowali, odkołowali na miejsca i wreszcie objawił się Mały Leszek, jak zwykle, w towarzystwie Dużego. Po odbyciu przepisowej "spowiedzi" u oficera wywiadowczego, zabrali nas do kasyna. Faraon opowiadał szczegółowo o ostatnich swoich przygodach i o kolegach ze skrzydła "Spitfire'ów", poczem zapytaliśmy, co tutaj słychać.

Leszki spojrzały na siebie: Duży sposępniał i westchnął; Mały uśmiechnął się i rzekł:

—U nas . . . U nas właściwie nic. My, uważasz, latamy teraz na eskorty.

—Z bombowcami w dzień? — zapytałem.

—Z bombowcami — mruknął Duży.

—To musi być ciekawe . . .

—Um, cholernie ciekawe! — potwierdził z gryzącą ironią. — Wisisz po kilka godzin dziennie w powietrzu i to pod samą stratosferą, wykręcasz głowę na wszystkie strony, aż ci gwinty w karku skrzypią, oddychasz tlenem z butli, spać ci się chce, marzniesz jak na biegunie, i — ani śladu niemieckich myśliwców. Wy tam na Kontynencie macie jedwabne życie w porównaniu z nami: jak nie do "Focke Wulffów", to proszę bardzo: parowozik, pociąg z amunicją, bombki z lotu nurkowego w jakąś przeprawę, w mostek, w barki, a w ostateczności — w samochód niemiecki, czy w inną tam koncentrację i ewakuację. Albo taki komfort, jak na Nowy Rok: nad własnym lotniskiem trzydziestu Szwabów zrąbać — to rozumiem! Tu — żebyś do końca wojny czekał, to ci żaden nie przyleci . . . Możesz sobie postrzelać, ale do celu, na strzelnicy, psiakrew.

Mały Leszek nie był tak bardzo rozgoryczony: ostatecznie i "Mustangom" czasem trafi się ciekawsze zadanie, choć na ogół istotnie praca jest monotonna. Startują często jeszcze przed świtem, bez względu na pogodę. Lecą ciasnym szykiem, przebijają się przez chmury, piszą białym ściegiem na wyblakłym niebie, gdy już ich z ziemi nie można dojrzeć gołym okiem i — w ściśle oznaczonym miejscu — dołączają do wyprawy bombowców, którą mają osłaniać. Ambicją każdego dowódcy jest punktualne przybycie na zbiórkę co do sekundy.

Dywizjon wchodzi na swoje miejsce, zależnie od rozkazu, jaki otrzymał; zwykle wyżej, od strony słońca, bo stamtąd atak jest najbardziej prawdopodobny. Bombowce w dole płyną, jak srebrne ryby; jak wielka, uszykowana w regularne czworoboki ławica srebrnych ryb. Czasem jest ich ponad tysiąc: nie widać ani początku, ani końca tego strumienia ciężkich, naładowanych bombami maszyn. Tysiące ton bomb płyną niewstrzymanie nad Niemcy i wiadomo, że dopłyną; że spadną na cel, że wybuchną, że zniszczą — wiadomo, na pewno! — bo strzegą tej potężnej armady myśliwcy. Bo żaden samolot niemiecki nie dotrze do naszych bombowców. Żaden nie ośmieli się nawet zbliżyć.

Eskorta leci wysoko — w tej stronie gdzie w danej porze dnia jest słońce. Eskorta widzi wszystko dokoła. Eskorta czuwa, gotowa w każdej chwili spłynąć na pełnym gazie, aby zmieść, rozbić w pył myśliwców *"Luftwaffe"*!

Zapalone celowniki świecą pomarańczowo przed oczyma pilotów. Odbezpieczone karabiny maszynowe i działka zdają się oczekiwać na drobny ruch palców, który zwolni spusty i to ich oczekiwanie zdaje się budzić leciutki dreszcz zniecierpliwienia, udzielający się skrzydłom.

Oczy myśliwców błądzą po chmurach, nad horyzontem, pod horyzontem, w górę i w dół, na prawo i na lewo. Ale niebo dokoła ciągnącej wyprawy jest puste . . . To męczy. Chciało by się odłączyć od tego strumienia bombowców i poszukać gdzieś dalej, ale — nie wolno. Nie wolno oddalać się zbytnio ani w drodze do celu, ani nad celem, ani w czasie powrotu. Chyba, że bombowiec uszkodzony przez pociski artyleryjskie nie nadąża za swoim zgrupowaniem; chyba że zostaje w tyle, tracąc wysokość. Wówczas z nim razem zostaje kilku myśliwców eskorty, aby go bronić; aby nie stał się łatwym łupem szakali z *"Luftwaffe"*; nie mających odwagi atakować zdolnych do walki.

—I widzisz — powiedział Mały Leszek — załoga takiego bombowca umie to ocenić. Oni nas rozumieją. Oni wiedzą. Oni nam ufają. Oni dziś inaczej — w innym nastroju lecą w dzień nad Berlin. W innym, niż wówczas, gdy nie mieli eskorty; gdy nie było "Mustangów". I ja myślę, że to jest ważne; może tak samo ważne, jak efektowne wypady "Spitfire'ów", choć znacznie mniej urozmaicone.

PORUCZNIK HERBERT

Dwa listy do Jana

Z korespondencji, którą otrzymuje autor "Listów o wspólnych sprawach" drukujemy dziś dwa głosy, wyróżniające się sposobem i poziomem ujęcia pewnych "wspólnych spraw". Na inne listy "Jan" odpowie w następnych swoich "Listach do wszystkich".

Prosimy o kierowanie uwag, odpowiedzi i zapytań do redakcji "Polski Walczącej" z zaznaczeniem: "Dla Jana".

I.

Kochany,

Nie powinienem właściwie tak pisać, bo nie mam do tego prawa. Nie jestem Twoim bratem, ani w ogóle krewnym. Nigdy brata nie miałem, jestem jedynakiem. Istnieje jeszcze i inna przyczyna — po prostu nieśmiałość. Bo Ty musisz być napewno ogromnie mądry i uczony człowiek, pewnie dużo czytałeś, nauczyłeś się pięknie myśleć i jeszcze piękniej pisać. A ja jestem zwyczajny, prosty i niedokształcony człowiek. Mniejsza o to, kto temu winien, czy los, czy ja sam, czy społeczeństwo, czy państwo. Dość że jestem człowiekiem prostym i pięknie się wyrażać ani pisać nie potrafię.

Ale oto, pewnego dnia, w niedługi zresztą czas po moim przyjeździe do Anglii wpadł mi w ręce jeden z Twoich listów, wydrukowany w "Polsce Walczącej". Już po pierwszych kilku zdaniach zacząłem go czytać uważnie i przeczytałem jednym tchem. I wtedy pomyślałem sobie zaraz, że znalazłem brata. Mądrzejszego, starszego ode mnie, ale napewno brata. Bo można mieć brata z ciała i brata z ducha. Ty jesteś tym drugim. Twoje myśli przeżyłem sam, może w innej formie, ale treść była taka sama. A przecież właśnie o to chodzi.

Ale, zanim zacznę pisać o innych, ważniejszych rzeczach, chciałbym Ci powiedzieć kilka słów o sobie. Jestem żołnierzem, jak się tego już pewnie domyśliłeś. Nie dosłużyłem się jeszcze żadnego stopnia, bo noszę polski mundur dopiero od kilku tygodni. Mam lat 22 /pewnie dwa razy mniej niż Ty/, pochodzę z rodziny robotniczej z Torunia. Było nas troje. Ojciec jeszcze jakimś cudem żyje dotychczas, ale matka umarła. Wiesz — Oświęcim, wolę o tym nie pisać. Do wybuchu wojny zdążyłem skończyć cztery klasy gimnazjalne. Potem już było niemożliwe, musiałem tak jak wszyscy brać się do roboty, żeby jakoś wyżyć.

O tych trzech latach wojny nie będę opowiadał — bo za długo. A w jesieni czwartego roku /matki już w domu nie było/ jednej nocy przyjechała pod dom ciężarówka, ojca zostawili, bo pracował w fabryce, mnie załadowali do budy i wywieźli. Nawet nie starałem się bronić, bo ich było kilku silnych chłopów, a ja jeden. Już zaraz w tej budzie poznałem kilkunastu innych. Potem poznałem dużo, dużo więcej. Ale to już było w obozach, a potem przy łopacie czy kilofie, przy robotach fortyfikacyjnych.

Bieda między nami była wielka, jeść dawali źle, a pracować kazali ponad siły. A ja wcale nie byłem najmłodszy w gromadzie. Czas wlókł się okropnie powoli, tym wolniej, im głośniej krzyczeli nam przez radio o niemieckich powodzeniach. Potem losy się zmieniły. A potem pewnego dnia usłyszeliśmy polskie armaty i zobaczyliśmy polskie mundury. Skończyła się poniewierka pod obcym batem, a zaczęła się służba pod własnym sztandarem.

Oto moja historia. Moja i wielkiej gromady moich wspólnędzarzy, a dzisiejszych towarzyszy broni. Ale nie o przeszłości chciałem w tym liście pisać. Przeciwnie. Chodzi mi o czasy, które idą, albo ku którym my idziemy. My, to znaczy ja i moi koledzy, młodzi żołnierze, jak to się mówi "szary tłum".

W ostatnim twoim liście pisałeś o "stanie zagrożenia". Pisałeś słusznie, że wytwarzanie tego stanu, to jeden więcej sposób działania nieprzyjaciela, broń taka dobra, jak każda inna. Długo sobie o tym wszystkim myślałem i doszedłem do przekonania, że my, ci najmłodsi żołnierze, ci którzy przyszli czy to z Francji, czy z Niemiec mieliśmy z nim do czynienia nieustannie przez ostatnie lata. Przez kilka lat my wszyscy nie mogliśmy ani na jeden dzień pozwolić sobie na wygodną, rozluźnioną postawę. To męczy. To był front nie gorszy od prawdziwego bojowego frontu. Kto raz się potknął, już się zazwyczaj nie podniósł. Ty nawet nie wiesz, jak strasznie łatwo raz nałożywszy wygodne pantofle i szlafrok zapomnieć, kim się jest i jak się człowiek nazywa.

Ale trzymając twardo w garści sumienie, a jeszcze twardziej zmysły, zapomnieliśmy o jednym. Zapomnieliśmy o uśmiechu. Pomyśl tylko szesnasto czy siedemnastoletni chłopcy, którzy się nie śmieją, nie cieszą, nie bawią. Łatwo teraz zrozumiesz dlaczego wielu z nas ma takie poważne twarze, nie pasujące do lat. A były to właśnie lata dorastania, dojrzewania, dochodzenia do rozumu. Nawet drzewo, jeżeli rośnie spięte w żelaznych klamrach, musi się wykrzywić, a cóż dopiero młody chłopak.

Tylko że my łatwiej umiemy się rozprostować. Nie odrazu oczywiście. Może się zdziwisz, jeżeli Ci powiem, że jeszcze teraz, po kilku tygodniach wolności i w warunkach życia, o których nam się nie śniło, jeszcze teraz nie umiemy śmiać się naprawdę, nie chodzimy do kina, chociaż są i pieniądze i miasteczko, jeszcze teraz nie poznajemy szkockich dziewcząt, trzymamy się razem i patrzymy na świat z ukosa. Podobno jeżeli komuś uciąć rękę, to ją jeszcze długo czuje. Z nami tak samo.

A teraz, Kochany, posłuchaj o najważniejszym. Zresztą pisano już o tym w naszej gazecie ściennej, ale nie wiem, czy ona wszędzie dochodzi. Dlatego piszę do Ciebie. My wszyscy wiemy dobrze, że jesteśmy Polakami. Wiemy, bo nas za to wywozili na roboty, za to głodzili, za to nie oszczędzali batów. Mimo to pozostaliśmy nadal Polakami, czego dowodem mundury, które nosimy.

Ale widzisz — mundur, którego na wieszaku nie wieszasz, nie prasujesz, nie czyścisz, prędko przestaje być mundurem, a staje się łachmanem. Traci formę. Tak samo człowiek. Nie wystarczy, że się urodził obywatelem jakiegoś państwa, czy członkiem jakiegoś narodu. Trzeba mu coś więcej o tym narodzie powiedzieć. Poznać z jego historią, nauczyć o ziemiach, na których żyje, o pniu, z którego wyrasta. To właśnie ten wieszak, czy to żelazko, dzięki któremu mundur trzyma fason, a Polak nie jest tylko Polakiem z urodzenia, ale i z przekonania. Jest obywatelem oświeconym, a przez to pełniejszym i odporniejszym.

Dla nas polskość jest dogmatem, nietykalną prawdą. Dogmatu nie trzeba rozumieć. Musi się weń wierzyć. Natomiast naszej religji narodowej brakuje jednej rzeczy — brakuje ewangelii, dobrej nowiny. Ewangelię o Polsce musicie nam dać wy, właśnie ci starsi, ci mądrzejsi, ci co tę Polskę znają lepiej i lepiej rozumieją.

I oto raz jeszcze wracam do "stanu zagrożenia". Powtarzam, byliśmy długo pod jego panowaniem. Obciętą nogę ciągle jeszcze czujemy, lecz równocześnie te kilka lat codziennej walki o dogmat Polskości jeszcze ciągle trzyma nas w postawie na baczność. Ale pamiętaj — my także kiedyś nauczymy się śmiać. Życie mamy łatwiejsze, jesteśmy młodzi, będziemy z każdym dniem młodsi, więc bardziej giętcy, podatniejsi dla stanu zagrożenia. Nie wolno dopuścić do tego, żeby znów przyszedł, chociaż z innej strony. Chcemy od was usłyszeć ewangelię o tej Polsce, która była i o tej, która jest teraz, a wtedy my wszyscy nie tylko będziemy wiedzieć, ale będziemy rozumieć, jaka ta Polska w przyszłości być musi. Jeśli dzisiaj zrozumiemy, to jutro "stan zagrożenia" może sobie chodzić spokojnie koło obozu, ale go wartownik nie wpuści, a pojutrze prawdziwy żołnierz-obywatel wejdzie do prawdziwie wolnej Ojczyzny.

Kończąc ten list posyłam Ci pozdrowienia, ja i wszyscy twoi bracia duchowi, a moi koledzy, z których pomocą napisałem to wszystko.

Twój kochający Cię brat

KAROL

II.

Kochany Janie,

Odpisuję Ci tą samą drogą, którą Ty pisałeś do mnie, to znaczy przez "Polskę Walczącą". Choć dzisiaj dzieli nas olbrzymia przestrzeń, jesteśmy jednak bardzo bliscy sobie, Ty i ja, zarówno jak i każdy żołnierz, który nas rozumie. Szkoda tylko, że nie możemy pogadać sobie czasem "na gębę". Tak, jak dawniej. Jak to się nieraz mówiło "z serca i chlebaka", z którego zawsze wyjadałem Ci zimny "beef" — pamiętasz?

Ponieważ obaj jesteśmy żołnierzami, miejsca naszych dalekich przemarszów i postojów są bez znaczenia. Wszystkie nasze drogi prowadzą do kraju i znaczymy je wszędzie jednakowo: Orłem Białym i mogiłami kolegów. Wzajemnej wymianie myśli nie przeszkadza to, że Ty jesteś tak bardzo daleko, a ja ciągle tutaj. Wspólna służba łączy nas w oddalonych szeregach.

W jednym z ostatnich listów do mnie wspomniałeś o zasadach, jakie obowiązują ludzi honoru w obliczu katastrofy. Wtedy jeszcze obaj nie wiedzieliśmy o "desce ratunku", którą łaskawa katastrofa namyśla się, czy ma ją nam rzucić.

Zapewne słyszałeś już o tym — choć jesteś tak daleko — że są ludzie, którzy w obliczu katastrofy chcą nam ofiarować paszporty. Cudzoziemskie oczywiście, bez orzełków! I, że są inni ludzie, którzy wielkie przeszkody stawiają przed sprawą ewentualnych możliwości otrzymania tych paszportów przez nas.

Pomyśl, czy rozważam słusznie:

1/ zamiarem tych, którzy chcą nam ofiarować cudzoziemskie paszporty, jest chęć spłacenia długu raczej niezbyt wielkim kosztem i chęć uspokojenia własnego sumienia. Taki dług jednakże nie da się nigdy takim tylko spłacić kosztem. Bo, czyż godzi się na jednej wadze mierzyć ciężar polskiej krwi i polskich cierpień, chociażby nawet z ciężarem paszportów brytyjskich?

2/ myślą zaś tych, którzy stawiają wielkie przeszkody przed sprawą możliwości otrzymania obcego obywatelstwa, czyż nie jest chęć podbicia w górę ceny paszportów?

Mnie się wydaje, że t o l i c y t a c j a.

I ci, i tamci, tej samej sprawie służą: przeceniają papier, na którym chcą wypisać nazwiska polskich żołnierzy. Pomyśl tylko, to wszystko — za Warszawę, Cassino, Falaise i Bredę. Za męczeństwo w imię wspólnej wolności, za widma z Dachau, z Oświęcimia i Oranienburga i z tych innych kaźni, gdzie, jak słusznie pisałeś, nie ma ani jednego Niemca, i gdzie jeden człowiek decyduje o tysiącach żyć i śmierci ludzkich.

Pośród targów nikt nie zapytał nas o t o, czy my się zgodzimy? Zupełnie tak samo, jak nie zapytano nas, co myślimy o t.zw. "linii Curzona"? Odebrano nam prawo głosu i miejsce w San Francisco. Bo głos nasz jest siłą ducha, dla którego gwałt, ani przemoc, ani bramy śmierci cielesnej nie istnieją.

Czy my się zgodzimy? W naszym gronie dość dużo się gadało.

—Kazek — splunął! Właśnie . . . Kazek! Pisałem Ci niedawno o nim, że opuścił się bardzo, że się martwi, zobojętniał na wszystko i — buty przestał czyścić. Na nic zdały się nasze tłumaczenia. Chłopak załamał się zupełnie. Ostatnie dni utwierdziły nas w tym, że Kazek naprawdę nic nie widzi i nic nie słyszy, co się wokół niego dzieje.

Byliśmy jednak w błędzie. Pewnego dnia Kazek usłyszał — o paszportach właśnie. Odmieniło go odrazu. Ledwieśmy go poznali. A buty — zabłocone i zakurzone zwykle, błyszczały odświętnie, jak na Wielkanoc.

—Co, już się strugasz na obywatela brytyjskiego? Poczekaj, trochę za wcześnie . . . — żartowaliśmy.

Ale Kazek tak spojrzał na nas, żeśmy się wszyscy zawstydzili. Nie obraził się jednak.

—Wiecie, co mi się śniło tej nocy? — powiedział.

Cisza.

—No? . . . zapytał któryś z nas.

—Ezaw — odpowiedział uroczyście Kazek.

Spojrzeliśmy na niego ze zdumieniem.

—Ezaw — powtórył Kazek — wiecie przecież, ten, biblijny, co sprzedał pierworodztwo za miskę soczewicy.

Zapanowało milczenie.

Janie! Gdybyś był tu wtedy pośród nas i przemówił po dawnemu — byłoby . . . nie umiem Ci tego napisać, było by może coś jaśniejsze i bardziej zrozumiałe. Na szczęście jednak miałem Twój list, wycięty z "Polski Walczącej". Wyjąłem go z zanadrza i przeczytałem na głos:

"żadna sytuacja nie jest rozpaczliwa, dopóki zasady, na których opieramy naszą postawę moralną, nie uległy rozkruszeniu".

Spojrzałem na błyszczące odświętnie buty Kazka. Ludzie o takiej postawie mogą się czasem chwilowo załamać — to jest przecież zwykłe i ludzkie. Ale w chwili decydującej, w chwili ważnej — wiedzą zawsze co mogą robić. Co jest sprawiedliwe i słuszne. Mają "nosa" — tacy nigdy nie pójdą na licytację.

Tyle chciałem Ci tymczasem napisać — wybacz, że tak prosto i bez filozofii — co myślę o zasadach, które obowiązują ludzi honoru w obliczu katastrofy.

Twój kochający Cię brat

STANISŁAW

Skrzynka pocztowa

LIST WILNIANINA

Szanowna Redakcjo!

Zwracam się z prośbą o umieszczenie mych skromnych wspomnień i uwag, bo gdy człowiek w szpitalu ma dużo czasu na refleksje, a wiadomości polityczne są takie . . . to w końcu zaczyna chorować na "literaturę". Proszę o zamieszczenie, bo wierzę, że głos tego, co walczy od 1 września 1939 roku przyniesie pożytek wspólnej sprawie.

Pamiętam tragiczną jesień 1939 r. Listopad, na Rossie tłumy, mauzoleum i groby obrońców Wilna toną w kwiatach, jodły przybrane barwami narodowymi, groby żołnierskie jarzą wielką ilością świec, choć trudności wojennego życia już dały się we znaki, tłumy młodzieży śpiewają Rotę, "Jeszcze Polska nie zginęła" aż do bojowego zewu "Warszawianki". Okrzyki na cześć armii na obczyźnie i nowego rządu we Francji, chcą po stokroć stwierdzić, że z serca polskości wyrwać się nie da. Po długich śpiewach i okrzykach ruszono na miasto. Na mieście: kordony wojska, policji konnej, lekkie czołgi. Wynik: masakra, aresztowania.

1-go maja 1941 r. wszyscy pod największymi represjami muszą uczestniczyć w pochodzie, biorą w nim również udział szkoły wileńskie. Na wybudowanych trybunach "komandiry" — przy mikrofonach spece wznoszący okrzyki. Gdy przechodzi młodzież, na trybunach konsternacja, nie słychać nawet anemicznych okrzyków, jak u innych uczestników pochodu. Młodzież polska idzie w milczeniu, nie odwracając głów w stronę trybuny, wciąż jeszcze słychać zachęcające, ale daremne okrzyki "ura . . . ura".

Wkrótce młodzież polska zapłaci za tę defiladę. Czerwiec 1941, Wilno ma więcej N.K.W.D. niż mieszkańców. Nadeszły dni masowej deportacji. Przed każdą bramą stoi wóz ciężarowy, przed niektórymi domami po kilka wozów. Trudno się zorientować; wywożą wszystkich, biednych i bogatych, inteligentów i analfabetów, ludzi porządnych i szumowiny, dzieci i starców, ba nawet obłożnie chorych i inwalidów, tłumy zakonnic i duchowieństwa, młodzież obojga płci, zabierają całe rodziny lub obecnych. Trwa to z niezmniejszonym nasileniem szereg dni. Po pewnym czasie ilość maszyn znacznie zmalała, za to pociągi tarasowały dworce wileńskie, nawet w Wilejce było ich pełno. Wagony . . . wagony. Ludzie mdleją z gorąca, kobiety, niemowlęta, starcy, lecz gdy tylko pociąg rusza, śpiewają "Jeszcze Polska nie zginęła". Tragiczna defilada — to było to, co z serca nie da się wydrzeć . . .

Wiosna rok 1942: ulicami Wilna idzie długa kolumna, przymusowo zabrani na roboty do Niemiec, młodzież śpiewa polskie wojskowe piosenki, idą i idą pod bomby alianckie, przechodzą przez Ostrą Bramę, mimo eskorty SS-Manów śpiewają Rotę, "Boże coś Polskę" i "Jeszcze Polska nie zginęła". Tragiczne są te bezustanne transporty ze śpiewem na ustach — to również defilada serca. Najostrzej zarządzona mobilizacja kilku młodych roczników do transportu, a właściwie do *Wehrmachtu* — dała znikomy plon. Idą pod eskortą i ci co jeszcze nigdy w wojsku nie służyli — śpiewają polskie pieśni żołnierskie i "Jeszcze Polska nie zginęła" aż wagony drżą.

Rok 1943 — na ulicach łapanki i obławy. Mężczyźni prowadzeni na roboty fortyfikacyjne pod Leningrad lub na chowanie poległych na froncie. I znowu słychać polskie żołnierskie piosenki i "Jeszcze Polska nie zginęła". To była również defilada . . .

Wiosna i lato 1943 — nie ma tygodnia by z wyroku "Polski Podziemnej" nie padł agent Gestapo. Maj — w domu odległym o pięćdziesiąt metrów od dowództwa S.D. odkryło skład broni. W mieszkaniu nie znaleziono nikogo. Zostaje trzech Gestapowców, w oczekiwaniu na przybycie właścicieli mieszkania. I . . . przychodzą. Pada dwu agentów trzeci ranny, a tamci zniknęli. A podejrzanych o radio, gazetki i organizację były całe masy, z Łukiszek wysyłano ich na miejsce straceń na Ponary i tu słychać było śpiew "Jeszcze Polska nie zginęła".

Listopad, Zaduszki. Idą na Rossę, by złożyć hołd poległym kolegom "Polski Podziemnej" /terrorystom, jak nazywało Gestapo/. Groby są pod strażą, lecz gdy zmierzch zapada, jest bezpiecznie na grobach Obrońców Wilna. Wieńce tak jak w 1939 r., tylko wartę honorową pełnią chłopcy i dziewczęta w wieku od ośmiu do dwunastu lat. Mimo, że o świece trudno, groby żołnierskie nie cierpią na ich brak. Gdy zmrok zapada i jest względnie bezpiecznie, słychać Rotę i "Jeszcze Polska nie zginęła" . . Defilada serc najmłodszych . . . stoję w cieniu krzyża z "Walterem" /pistolet/ w kieszeni, łza wzruszenia spływa po mojej twarzy, przeczuwam, że to ostatnie moje dni w Wilnie.

Gdy znalazłem się w armii alianckiej usłyszałem ostatnią wiadomość o moim mieście. Armia Krajowa w Wilnie wystąpiła do boju, do dwutygodniowej walki na ulicach i w rejonie Wilna. Wykazało to, że chcemy zapomnieć szlak wygnania na wschód, że gotowi jesteśmy wybaczyć, a rękojmią tego miała być krew wylana z żołnierzem rosyjskim. Niestety było to jeszcze jedno złudzenie dobrej woli. Szlak na wschód do Kaługi. Wiem, że i tam śpiewano, ach! jak tragicznie śpiewano "Jeszcze Polska nie zginęła". To ta ostatnia defilada . . .

Wilnianin

Żołnierz z 1-szej Dywizji Pancernej /Krwawe Koszule/, od października 1939 żołnierz Armii Krajowej, syn bojowca P.P.S. robociarza, sam robociarz i P.P.S.-owiec, żołnierz, nie "agresor", ale "liberator", obrońca praw człowieka

TOWARZYSZ BRONI

Wilno



Matka Boska Ostrobramska

"Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy,
I w Ostrej świecisz Bramie".

Takimi słowy rozpoczyna się narodowy poemat największego poety polskiego, Adama Mickiewicza. Modlitwą do Najświętszej Marii Panny, co w Ostrej świeci Bramie . . . Ostra Brama to niewielka kaplica z obrazem Bogarodzicy, pośrodku niewymownie uroczego miasta Wilna. Podobno, niedawne działania wojenne obróciły wiele z Wilna w ruinę. Ale — Ostra Brama ostała się. I niewątpliwie ostoi się i przetrwa czasy przemocy i obcego panowania.

Wilno, miasto wojewódzkie, prześlicznie położone nad wijącą się zakrętami Wilią — jest ważnym ośrodkiem życia północnowschodnich ziem Rzeczypospolitej. Nie ma Polaka, któryby nie zdawał sobie sprawy, czym dla nas jest to "miłe miasto", jak mawiał uczeń szkół wileńskich, Józef Piłsudski. Nie ma też Polaka, godnego tej nazwy, któryby handlował Wilnem, któryby nie wierzył, że nad tym miastem unosi się duch wielkiego poety, wieszcza narodu, Adama Mickiewicza. I któryby też nie wierzył w powrót tego miasta, po sprawiedliwym rachunku dziejowym, do swojej Ojczyzny.

To tutaj, przed z górą stupięćdziesięciu laty, gdy upadła Rzeczpospolita szlachecka — już wtedy lud wileński pod dowództwem Jakuba Jasińskiego, pisał i wykonywał wyroki śmierci na wrogach i zdrajcach. To tutaj — na Górze Trzech Krzyży ginęli polscy powstańcy za zbrodnię "polskawo matieża" . . .

W którą stronę przedwojennego Wilna było spojrzeć — wszędzie — pamiątki polskiej przeszłości, która jest zawsze bujnym nasieniem pod przyszłość. Katedra, Kościół Świętego Jana, Kościół Świętego Piotra i Pawła na Antokolu, Kościół Świętego Kazimierza, królewicza Polski i Litwy. Uniwersytet imienia króla Stefana Batorego. Zaułki wileńskie, gdzie nieomal za szatę uchwycić możesz Mickiewicza. Cela bazyljańska z jego imieniem związana, gdzie młodzież polską więziono i katowano za miłość ku własnej Ojczyźnie, za nieprzeparte dążenie ku wolności.

A Cmentarz na Rossie? Jest tam wymowna mogiła "Matki i Serca Syna" — matki Józefa Piłsudskiego i jego serca. Na stokach Rossy śpią snem wiecznym poeci i malarze, budowniczowie i dostojnicy kościelni, filantropi i działacze społeczni. I śpią również snem wiecznym żołnierze.

Nie ma takiego topora, któryby nas odłupał od Wilna. Bo można całe miasto obrócić w niwecz, wysadzić dynamitem w powietrze nawet groby na Rossie. Lecz — Adama Mickiewicza, największego poety polskiego, żadna siła nie wyrwie z tego miasta. I dziś, gdy w Mickiewiczowskim mieście panoszy się obca siła — pamiętamy najmocniejszą pamięcią o Wilnie.

Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych

Wiecie dobrze, kim jest Wasz bezpośredni dowódca. Dowódca drużyny, plutonu, czy kompanii, jeśli chodzi o piechotę. Wiecie, że każdy podkomendny ma swego przełożonego. Wynika to z istoty Sił Zbrojnych. Otóż przełożony na szczeblu najwyższym — to Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych.

Mianuje i zwalnia Naczelnego Wodza, według obowiązującej nas Konstytucji — Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej.

Dnia 30 września 1944 roku Pan Prezydent zwolnił z obowiązków Naczelnego Wodza generała broni Kazimierza Sosnkowskiego, mianując na jego miejsce generała dywizji Tadeusza Bora-Komorowskiego, bohaterskiego Dowódcę Armii Krajowej. Gdy w pierwszych dniach października 1944 roku walcząca przez 63 dni Warszawa, była zmuszona złożyć broń — generał Tadeusz Bór-Komorowski, podzielił los swoich żołnierzy i znalazł się w "Oflagu" niemieckim jako jeniec wojenny.

Dnia 26 lutego 1945 roku Prezydent R.P. mianował generała dywizji Władysława Andersa, pełniącym obowiązki Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych. Stanął tedy na czele Sił Zbrojnych organizator i dowódca wsławionego w bojach na ziemi włoskiej II Korpusu Wojsk Polskich.

Nazwiska generałów Tadeusza Bora-Komorowskiego i Władysława Andersa, mają dla żołnierzy polskich, dla wszystkich Polaków piękną i wielką wymowę. Z tymi nazwiskami łączą się dwa największe fronty polskiej walki, największe osiągnięcia na polach bitew.

Po klęsce wrześniowej Polskie Siły Zbrojne w roku 1939, jak wiemy, odbudowywać się zaczęły na ziemi francuskiej. We Francji też został mianowany Naczelnym Wodzem gen. broni Władysław Sikorski, jeszcze jako generał dywizji. Niewątpliwie, historyczną zasługą generała Sikorskiego jako



Naczelny Wódz
gen. dyw. Tadeusz Bór-Komorowski

Naczelnego Wodza, było odtworzenie na ziemi obcej polskiego wojska, jako narzędzia walki o wolność i niepodległość Ojczyzny. W jednym z pierwszych swych przemówień radiowych — Naczelny Wódz generał Sikorski, a zarazem Prezes Rady Ministrów, podał do wiadomości fakt odbudowywania Sił Zbrojnych na obczyźnie. W odzewie na te słowa, zaroiły się zielone granice, długie, uciążliwe i niebezpieczne szlaki, którymi wędrowali Polacy, aby zaciągnąć się ponownie do odbudowywanego wojska. Generał Sikorski zdążył odbudować we Francji dwie dywizje oraz jedną brygadę piechoty, nadto Brygadę Pancerną.



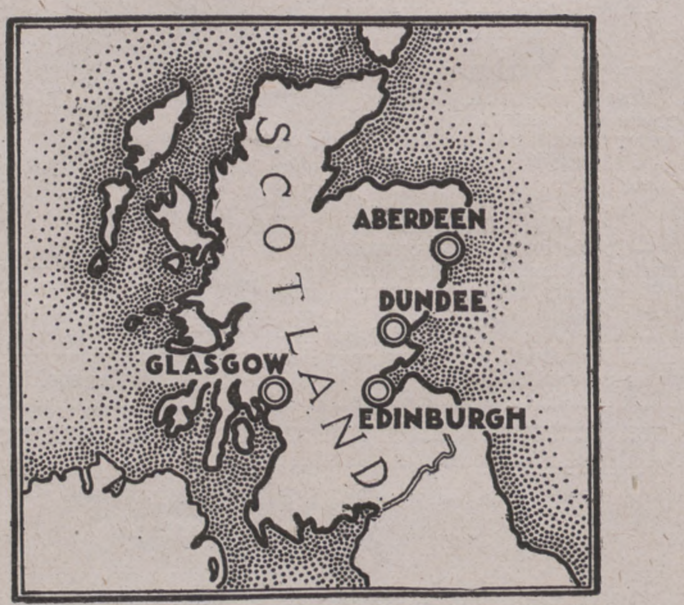
Pełniący obowiązki Naczelnego Wodza
gen. dyw. Władysław Anders

Gdy nastąpił najazd niemiecki na Francję, generał Sikorski, w porozumieniu z Premierem Wielkiej Brytanii Winstonem Churchillem, przeniósł, ile tylko mógł z uratowanych Sił Zbrojnych na tę wyspę, i tu — w Szkocji — w dalszym ciągu prowadził dalsze przygotowywanie jednostek do walki z odwiecznym wrogiem. Pracowite, pełne energii i niewymownego trudu życie generała Sikorskiego, przecięła katastrofa samolotu w Gibraltarze, dnia 4 lipca 1943 roku.

Po jego żołnierskiej śmierci na posterunku — Pan Prezydent mianował Naczelnym Wodzem generała broni Kazimierza Sosnkowskiego. Na okres objęcia Naczelnego Dowództwa przez gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego, przypadają chwalebne zwycięstwa orężne II Korpusu, jak również niemniej sławne i zwycięskie boje 1 Dywizji Pancernej w Normandii. W sierpniu 1944 roku wybucha powstanie Warszawy, stolicy uciemiężonego, lecz nigdy i przez nikogo nie ujarzmionego, nigdy nie poddającego się niewoli — narodu polskiego.

Tak, oto pokrótce, na tle wydarzeń dziejowych, przedstawiają się sylwetki Naczelnych Wodzów Polskich Sił Zbrojnych w czasie tej wojny, która jest niewątpliwie najokrutniejszą z okrutnych, za to walczącemu narodowi pisze karty Historii zgłoskami nieśmiertelnej chwały i krwi.

Cztery miasta Szkocji



Glasgow ma 1.088.461 mieszkańców, Edinburgh — 439.010 mieszkańców, Dundee — 175.585 mieszkańców, Aberdeen — 167.259 mieszkańców

Edinburgh jest stolicą Szkocji. Ale pod względem liczebności mieszkańców jest to drugie miasto tego kraju — po Glasgow.

Dojeżdżając do Glasgow, jedziecie stosunkowo długo, zanim pociąg zatrzyma się na jednym z trzech głównych dworców. Wokoło — fabryki. Niebo jest pocięte fabrycznymi kominami. Opodal fabryk znajdują się dzielnice mieszkaniowe o domach szarych lub czerwonych. Typowe miasto fabryczne, takie jak Łódź, Sosnowiec, Katowice, czy Chorzów. Tylko znacznie, znacznie większe.

Czy wiecie, że w Zjednoczonym Królestwie, obejmującym Anglię, Szkocję i Walię — Glasgow zajmuje drugie miejsce po stolicy Imperium Brytyjskiego, Londynie? Jest to największe i najbardziej przemysłowe miasto Szkocji. W rejonie Glasgow znajdują się stalownie, oraz liczne kopalnie węgla. Jednak na pierwszym miejscu należy postawić przemysł budowy okrętów. Na cały świat są słynne tutejsze stocznie, w których buduje się okręty, łączące ze sobą nieznane lądy, poprzez rozległe, najdziwniej zwące się oceany i morza.

Edinburgh, zwłaszcza we wschodniej i północnej części liczy wiele fabryk, oraz Port Leith. A jednak to inne, niż Glasgow, miasto. Mniej jednostajne w wyglądzie, mniej nerwowe, z malowniczym otoczeniem podmiejskim. Edinburgh zalicza się do tych paru najpiękniejszych pod względem położenia, miast Europy.

Jeśli traficie do Edinburgha w dzień pogodny, to niezapomnijcie wejść na Górę Zamkową */Castle Hill/*, skąd rozciąga się rozległy widok ponad miastem, na otaczającą okolicę. Dookolną panoramę miasta — stanowią stoki gór. Słońce lśni na dachach gmachów publicznych, kamienic czynszowych, pałacyków i wieżyc kościelnych. A w porze letniej — jest tu pięknie zielono, albowiem drzew, wśród ulic i placów Edinburgha, nie braknie.

Będąc na przepustce tutaj, nie zapominajcie też odwiedzić zoologu czyli ogrodu, w którym hoduje się różne zwierzęta. Ten po angielsku "Zoo-Garden", położony w zachodniej części miasta jest jednym z największych tego rodzaju ogrodów w całej Wielkiej Brytanii. A Szkoci się jego rozmiarami chlubią.

Przy wschodnim wybrzeżu Szkocji umieściły się dwa portowe miasta: Dundee i Aberdeen. Może nie jest dziwne, że z tych wschodnich portów Szkocji — udawali się przed paru wiekami Szkoci, żeby osiąść na wschodzie Europy, między innymi i w Polsce. Przedmieście Gdańska, nazywające się Alt-Schottland, było w dawnych czasach osiedlem szkockim. Pierwsi mieszkańcy, założyciele, pochodzili z okolic Aberdeen.

Dundee i Aberdeen nie są tak rozległe i wielkie, jak Edinburgh, a w szczególności Glasgow. Tętni w obu tych miastach ruchliwe, pracowite życie portu morskiego. Dundee jest ośrodkiem produkcji juty, a Aberdeen — przetwórczego przemysłu rybnego. Być może, w dawnych czasach, poza innymi znanymi przyczynami, to sprawiało, że stąd kierowali się kupcy do dalekiej Polski, aby Krajowi naszemu przywieźć i zaofiarować potrzebne towary. A znów z Polski — zakupić i przewieźć to, czego potrzebowali Szkoci.

Z miejsc postoju

Dnia 7 kwietnia r.b. w miejscu postoju Szkoły Podchorążych Piechoty i Kawalerii Zmotoryzowanej, odbyło się zakończenie VII kursu piechoty i VIII kursu dla lotników. Uroczystość ta była po raz pierwszy tak tłumna i liczna w dziejach podchorążówki w Szkocji. Jeden z Waszych kolegów, pchor. J. z Nakła nad Notecią, przemawiając, ślubował następującymi słowy:

"Nie ma takich ofiar, ani takich wysiłków, którychbyśmy się nie podjęli. Mamy jeden jedyny cel święty — Polskę".

Z dniem 9 kwietnia r.b. rozpoczął dziesięciodniową turę odczytową p. J. Zieliński, uczestnik powstania warszawskiego, odwiedzając wiele miejsc postoju w Szkocji i dzieląc się ze słuchaczami tym, co widział i przeżył w czasie 63 dniowej walki Stolicy przeciwko Niemcom.

P. Zielińskiego słuchano z napiętą uwagą i zainteresowaniem, gdyż dla żołnierza, który jest szkolony do walki o wolność swej Ojczyzny, przykład Stolicy będzie zawsze żywy i pamiętny. Prelegentowi stawiano po odczycie szereg zapytań, wykazujących jaknajdobitniej, ku jakiemu celowi kieruje się myśl żołnierza polskiego w obozach w Szkocji.

Dnia 10 kwietnia — Czołówka Teatralna Dowództwa Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii "Lwowska Fala", rozpoczęła objazd miejsc postoju 4 Dywizji Piechoty z programem nr. 11, pod tytułem: "Ten Drogi Lwów . . ."

Popularny teatr żołnierski pod kierownictwem artystycznym Wiktora Budzyńskiego, przynosi żołnierzowi rewię, która ma przypomnieć, odtworzyć jego wyobraźni Polskę, tę, którą zostawił, o której śni i marzy, ku której tęskni, do której wróci z bronią w ręku, bo taka jest jego nieugięta wola.

Brytyjsko-Polski Klub Korespondencyjny /Siedziba: 3, Novar Crescent, Kirkcaldy, Fife. Prezydent: Miss Jean Braid. Sekretarz Generalny: Vincent Swicz/ — rozesłał do członków pismo, w którym zaznacza między innymi:

—"Każdy członek Klubu ma duży wybór korespondentów i zawsze znajdzie kilka osób odpowiednio do swego gustu, wieku, wykształcenia i t.p. Obowiązuje wymiana co najmniej jednego listu na miesiąc. Korespondencja głównie w języku angielskim /choćby z błędami/. Sporo Brytyjczyków zna francuski. Niektórzy znają niemiecki, ale tego języka nie popieramy ze względów zrozumiałych. Niestety, tylko garstka może korespondować po polsku, ale wielu Anglików i Angielek, Szkotów i Szkotek, pragnie nauczyć się polskiego i proszą o pomoc.

Pierwsza drukowana lista adresów została rozesłana w połowie kwietnia /tylko tym członkom, którzy zapisali się do Klubu przed 30 marca/. Lista zawiera z górą 900 nazwisk i adresów, z tego połowa angielskich i szkockich, przeważnie panie, starsza młodzież szkolna, członkowie klubów młodzieży. Akcja nasza osiągnęła z miejsca poważny sukces".

W oddziałach, które nie otrzymują dostatecznej ilości egzemplarzy "Polski Walczącej", należy odciąć tę kartę i umieścić na ścianie w widocznym miejscu. "Towarzysz Broni' winien docierać do wszystkich.

ZBIÓRKA KSIĄŻEK

P. Cristina Baczyńska, Curitiba — Parana, Brazil, przesłała książki p.t.: "Szczenięce Lata" Melchjora Wańkowicza i "Na Morzach Dalekich" Marjusza Zaruskiego.

Biezimiennie przesłano: Adam Pragier: "Cele Wojenne Polski".

Przesyłam parę książek dla naszych rannych żołnierzy w szpitalach.

Br.W.

Załączone: Bolesław Prus: "Omyłka", Bernard Shaw: "The Adventures of the Black Girl in Her Search for God", Berlitz: "First Book", Berlitz: "Second Book", "Cel i Droga", "Pomniki Literatury Ojczystej", "Nowa Polska" /Zeszyty od 1 do 12/, "Nowa Polska" /Zeszyt 5 i 6/. Korespondencyjny Kurs Techniczny, i Lekcja Języka Angielskiego.

DO WSZYSTKICH RANNYCH ŻOŁNIERZY POLSKICH PRZEBYWAJĄCYCH W SZPITALACH NA TERENIE W. BRYTANII

Celem stworzenia możliwości dla rychłego doręczania poczty i wszelkich przesyłek prywatnych rannym żołnierzom, którzy przebywają obecnie w różnych szpitalach brytyjskich i polskich na terenie Wielkiej Brytanii, każdy zainteresowany żołnierz winien niezwłocznie przesłać obecny swój adres do Biura Opieki nad Żołnierzem — referat pocztowy M.O.N. Adresować należy do: Postal Officer Polish H.Q. Vandon House, Vandon Street, London, S.W.1. podając czytelnie: stopień, imię i nazwisko, nazwę i miejsce szpitala oraz ewentualny Nr. poczty polowej.

Należy również podawać każdorazowo zmianę miejsca pobytu.

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Dear Sir,

After I had delivered in March this year a talk on "The Children of Poland" to the Senior Pupils of the St. Francis School in Craigmillar, Edinburgh, my listeners decided spontaneously and without my knowledge to make among themselves a collection which should benefit the children of Poland.

On the occasion of my second visit to the school, after I had given another talk, I was presented with a cheque for £2 /Two pounds/ as a donation for the Children's Hospital in Warsaw. Deeply moved by this act of generosity, I am sending you this cheque here enclosed, and I trust you will kindly transmit it to the proper authorities.

Yours faithfully,

Dr. Francis Koval

* * *

W załączeniu przesyłam Money Order na kwotę £1 sh. 10, z przeznaczeniem na "Pomoc Dzieciom Warszawy".

Strz. spad. P.N.

NA FUNDUSZ GENERAŁA BORA

Szanowny Panie Redaktorze,

W załączeniu przesyłam kwotę £28.19.0 /słownie: dwadzieścia osiem funtów i dziewiętnaście szylingów/, którą to kwotę złożyli na Fundusz Im. Naczelnego Wodza Gen. Bór-Komorowskiego Tadeusza a to:

a/ Oficerowie Szpitala Wojennego Nr. 4	£9. 5.0
b/ Siostry W.K.S.Sł.Zdr. ...	£6.14.6
c/ Kompania Obsługi	£9. 7.6
d/ Kompania P.W.S.K. ...	£3.12.0
Razem:	£28.19.0

Dowodca Kompanii Z.S., kpt.

NA POMOC WARSZAWIE

Przesyłam £1 /słownie: jeden funt/, który ofiarowała gospodyni jednego z oficerów oddziału spad. na pomoc Warszawie.

Mrs. Salmon

Easton on the Hill.

NA POLAKÓW WYWIEZIONYCH DO NIEMIEC

Szeregowi Kompanii Wsparcia Baonu Zapasowego Centrum Wyszkolenia Piechoty złożyli kwotę £2 sh. 13 d. 10 /dwa funty, trzynaście szlingów, dziesięć pensów/ na fundusz pomocy dla Polaków ewakuowanych z Niemiec.

Wym. kwotę przesyłam w załączeniu.

Oficer Opieki Baonu Zapasowego R., ppor.

ś. ✝ P.

Por. ALFRED GIERGIEL
Plut. WŁADYSŁAW DENEK
St. strz. KAZIMIERZ SIEK
Strz. HENRYK BASIERAK

zginęli śmiercią żołnierza na froncie zachodnim w marcu 1945.
Cześć Ich pamięci!
DOWÓDCA, OFICEROWIE i ŻOŁNIERZE BATALIONU "KRWAWYCH KOSZUL." 454

ś. ✝ P

Por. ALFRED GIERGIEL

odznaczony Krzyżem Walecznych, zginął śmiercią żołnierza w marcu br. w Holandii.
Cześć Jego pamięci!
DOWÓDCA, i OFICEROWIE BATALIONU "KRWAWYCH KOSZUL." 455

NA P.C.K.

Szanowny Panie Redaktorze,

W załączeniu przesyłam czek No. 363153 na sumę £33.7.7 /słownie: funtów trzydzieści trzy, siedem szylingów i siedem pensów/ tytułem składek zebranych na P.C.K. na Wystawie Fotograficznej "Through Polish Eyes" w Cardiff w marcu b.r.

Wystawę w Cardiff zwiedziło około 9000 osób, a ogólna liczba osób, które zwiedziły tę wystawę w 34 miejscowościach, gdzie wystawa gościła, przekracza 200.000.

W następnych miesiącach wystawa zamierza udać się do York, Hull, Belfast i Brighton. Mam nadzieję, że składki na P.C.K. dosięgną wkrótce £1.000.

Łączę wyrazy szacunku,

Paweł Miller

* * *

W dowód wdzięczności i sympatii dla p. Dr. Falika, na P.C.K. składają chorzy jego sali — kwotę £1.12.0 /słownie trzydzieści dwa szylingi/.

Szpital Wojenny Nr. 2 S.E.F.A.

NA FUNDUSZ WDÓW I SIERÓT PO POLEGŁYCH ŻOŁNIERZACH 14 WLKP. DYW. PIECH.

W załączeniu przesyłam datek £3 na "Fundusz wdów i sierot po poległych żołnierzach 14 Wlkp. Dyw. Piech."

Z poważaniem

Biskup Karol Radoński

* * *

Proszę o przyjęcie sh. 5 w P.O. na "Fundusz Wdów i Sierot" po poległych żołnierzach 14. Wlkp. Dyw. Piech."

Czołem!

A.J.S.

KOMUNIKAT

Polacy z Prus Wschodnich, Pogranicza, Śląska Opolskiego, Westfalii i innych części Niemiec proszeni są o zgłaszanie swych nazwisk i adresów do Światowego Związku Polaków z Zagranicy, 45, Belgrave Square, London, S.W.1.

KOMUNIKAT DO EMIGRANTÓW POLSKICH Z FRANCJI

1. Ochotnicy z Francji oraz żołnierze nowoprzybyli do W. Brytanii proszeni są o podanie swoich adresów do Komitetu Emigrantów Polskich z Francji — 45, Belgrave Square, London, S.W.1.

2. Odznaka dystynkcyjna dla żołnierzy emigrantów z Francji /dla armii lądowej, marynarki wojennej i lotnictwa/ jest to nabycia w kantynach wojskowych. Cena sh. 1/3 za sztukę.

3. Sprawa repatriacji masowej osób cywilnych z W. Brytanii do Francji jest na razie nieaktualna.

Komitet Wykonawczy
Emigrantów Polskich z Francji

POSZUKIWANIE

P. Stefan Nowak, ostatni adres w kraju: Ul. Przemysłowa 3, Poznań — ranny w czasie kampanii wrześniowej, przebywający w obozie wojska polskiego w Coetquidan — poszukiwany przez kuzyna swego P. Stefana Przybyła.

Wiadomości proszę kierować do redakcji "Polski Walczącej".

WERINAJSEK

... ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

W BERCHTESGADEN



—A teraz zagraj mi cyganie coś dla odprężenia nerwów ...
—Zagram, tak od serca — "Ostatnia niedziela"! ...

PRZYGOTOWANIA SZKOTEK NA DZIEŃ POKOJU

—Gdzie chciałaby Pani najchętniej spędzić wieczór zwycięstwa?

—Oczywiście wśród żołnierzy.

—Ja też marzę o tym — i to w koszarach! ...

—Wobec tego jutro piszę do jednego z pułków polskich ...

NOWE KŁOPOTY

Nowomianowany podporucznik czasu wojny zwraca się do dowódcy:

—Panie pułkowniku, my chyba po kapitulacji Niemiec zostaniemy przemianowani?

—???

—Na podporuczników czasu pokoju! ...

NIE LUBI! ...

—Pan wybiera się na okupację Niemiec?

—Nie, proszę Pana. Nie lubię, gdy ktoś krzywym okiem patrzy na mnie ...

PEWNE JAK MUR

—A ja Panu mówię, że wojna skończy się 19 kwietnia!

—Skąd pan ma tę datę?

—Z kina. Sam czytałem warunki konkursu na Victoria marsz!

PRZYJACIEL POLAKÓW

W ubiegłym tygodniu, w jednym z urzędów polskich w Edynburgu, odzywa się telefon:

—Sorry, czy możecie wypożyczyć mi na jakiś tydzień biało-czerwoną chorągiew — odzywa się pewien Szkot, właściciel sklepu przy Princes Str.

—Chętnie, tylko z jakiej okazji?

—Jak to z jakiej? *Victoria day* nadchodzi. Może was zabraknąć w San Francisko, ale nie u mnie na Princes Str.

Adolfie
ja tobie tego nigdy nie zapomnę! ...
Mussolini
Hindenburg
Wilhelm I.
Bismarck
Fryderyk Wielki

W nieutulonym żalu po stracie nieodżałowanego
ADOLFA HITLERA
Prezesa i Protektora naszego Towarzystwa — ku wiecznemu wspomnieniu dobrych czasów — ten oto nekrolog poświęca
Międzynarodowy Związek Black-Markieciarzy

ZANIK PAMIĘCI



Hitler: Czuję, że jakieś nieszczęście zawisło nade mną ...

W RUBENSIE

—A niech się raz ta wojna skończy! Zaraz po kapitulacji wyjeżdżam stąd.

—Pan major wraca do Francji?

—Gdzie tam — na week-end do moich znajomych Szkotów ...

PO NALOTACH NA RZESZĘ

Trzeba przyznać, że to co Hitler powiedział przed laty — zawsze się sprawdzało. Na przykład: Dajcie mi 5 lat rządów, a nie poznacie Niemiec"! ...

WYJAŚNIENIE

—Co się stało, że w ostatnim numerze "Polski Walczącej" nie było "Werinajska"? Czyżby cenzura skreśliła?

—Nie, tylko autor musiał poświęcić kilka chwil grypie na wspólne "sam na sam" ...

MÓWIĄ ...

Mówią, że gen. Anders ma powołać do wojska wszystkich młodych ludzi w Londynie, ażeby uchronić ich przed niebezpieczeństwem V2! ...

W OBAWIE

—Krąży pogłoska, że na czas konferencji w San Francisco dzieci mają być ewakuowane z miasta.

—Dlaczego???

—Ażeby nie podsłuchały brzydkich słów ...

SPOTKANIE WILHELMA Z ADOLFEM NA TAMTYM ŚWIECIE ...



Wilhelm: — Jak spotkasz Bismarcka, to nie przyznaj się do klęski. On mógłby tego nie przeżyć — po raz drugi! ...

Tekst i rysunki: **TONY**

SPIS RZECZY:

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową w Wielkiej Brytanii i zagranicą 1 sh. 6 d., kwartalnie 4 sh. 6d. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "POLSKA WALCZĄCA" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.